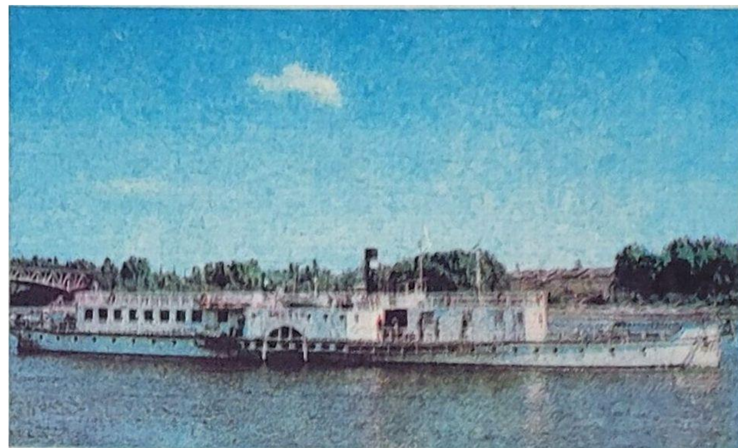
CZWARTEK
Nr 65 85-05-30 Cena 8 zł

ŚWIAT MŁODYCH

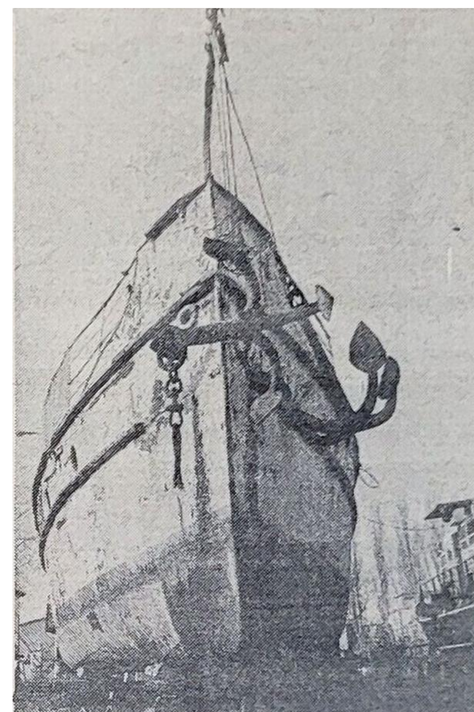


HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

OSTATNI REJS „TRAUGUTTA”?



„Bałtyk" - flagowy statek rzecznej „armady". Jeszcze niedawno poczciwe parowce były nieodłącznym elementom wiślanego pejzażu, wożąc wycieczkowiczów na spacery, majówki, pikniki. Z komina buchał dym, łopatki kola napędowego pracowicie młóciły nurt rzeki, a kapitan pykał fajkę. Cóż to było za przeżycie!



- Nie warto nawet remontować tego wraka. Lepiej od razu zbudować nowy statek - mówi jeden z pracowników portu rzecznego w Płocku, gdzie dogorywa „ostatni mohikanin" licznej niegdyś flotylli wiślanych parostatków.

O losach zabytkowego „Traugutta" i niezwykłych dziejach wiślanych paropływów przeczytajcie na str. 4

Fot. Justyn Opara i archiwum



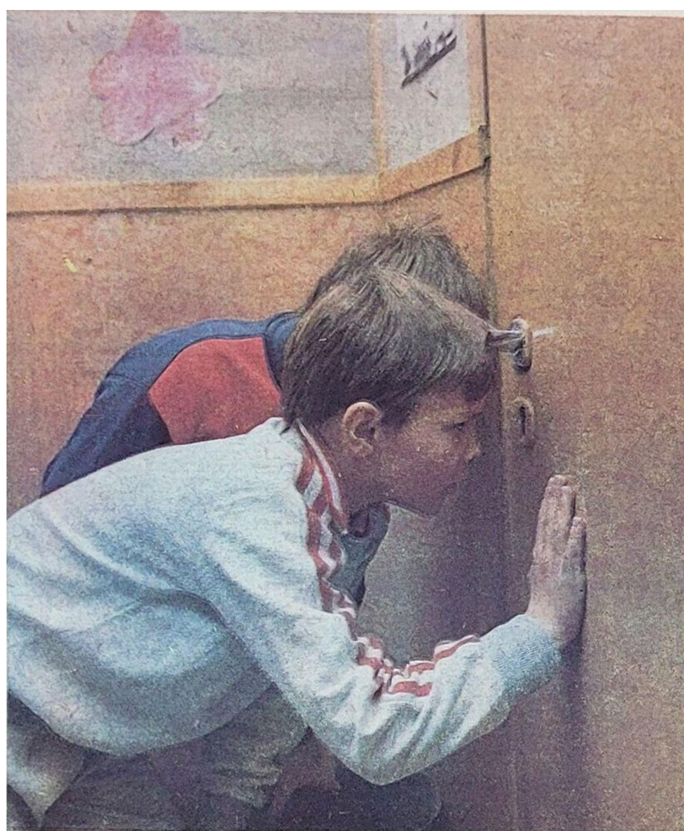
Złote, Srebrne, Brązowe Ostrogi, honor laureata, maszyna do pisania, dyplomy oraz książki czekają na laureatów tegorocznego XI konkursu literackiego „Złotej Ostrogi" pt.

„Pamiętnik znaleziony na strychu”

Kto jeszcze nie wziął udziału w konkursie, zachęcamy - niech co prędzej chwyci za pióro i napisze opowiadanie o objętości nie większej niż 10 stron maszynopisu lub 20 kartek z zeszytu jednostronnie zapisanych (błagamy, czytelnie!). Opowiadanie — oparte na wydarzeniach autentycznych lub od początku do końca wyssanych z palca, należy napisać samodzielnie — plagiatorów będziemy bezlitośnie piętnować i tępić!, po czym jak najprędzej wysłać do redakcji, bowiem termin nadsyłania prac upływa 30 czerwca br. Nadesłanych prac nie zwracamy! Oceniać je będzie surowe, acz życzliwe jury, które laureatom w dwóch kategoriach wiekowych: 12-14 i 15-16 lat przyzna nagrody i wyróżnienia. Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi jesienią, autorom najlepszych opowiadań, prócz nagród i wyróżnień przysługuje prawo druku swojej pracy w gazecie oraz honorarium. Konkursowe opowiadania podpisane imieniem, nazwiskiem oraz pseudonimem, podając wiek oraz dokładny adres należy adresować następująco: „Świat Młodych", ul. Mokotowska 24,00-561 Warszawa, z dopiskiem na kopercie „Złota Ostroga".

Do piór więc i powodzenia!

PRZED WAKACYJNĄ METĄ

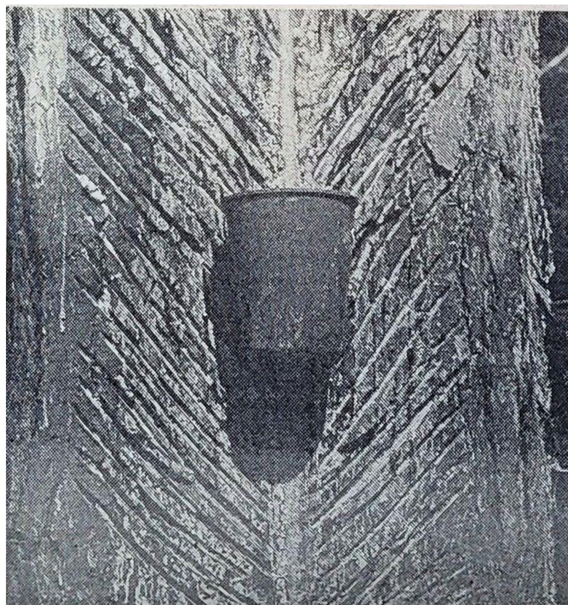


Jeśli chcecie się dowiedzieć, co zobaczyli przez dziurkę od klucza do klasy ci dwaj dżentelmeni, zajrzyjcie szybko na stronę 5

Fot. Marek Szymański

Czas żywicowania

NIECH BLASZANE KUBECZKI ZOSTANĄ NA MIEJSCU!



Wiosną na dobre zaczyna się żywicowanie drzew. Pracownicy lasów państwowych wyruszają do ostoi kilkudziesięcioletnich (a często ponad stuletnich) sosen, przeznaczonych do wyrębu, uzbrojeni w specjalne, b. ostre noże. Zdzierają z drzew u dołu pnia korę i wykonują tu szereg nacięć, którymi zaczyna ściekać żywica. Zbiera się ją do blaszanych kubeczków, przymocowanych do pni tam, gdzie zbiegają się nacięcia.

Dla miłośników przyrody widok żywicowanych drzew jest przykry, zwłaszcza że żywicowanie zapowiada rychły wyrąb tej partii drzewostanu. Jest to jednak normalny zabieg gospodarczy, przeprowadzany w zagospodarowanych, wypielęgnowanych drzewostanach sosnowych. Nie prowadzi się go w lasach chronionych, np. rezerwatach przyrody. Czasem bywa zresztą, że ochroną zostaje objęty las, w którym część drzew została wcześniej wyżywicowana. Drzewa takie na ogół rosną jeszcze wiele, wiele lat bez uszczerbku. Wyżywicowane drzewostany starych sosen mamy np. tu i ówdzie np. w Kampinoskim Parku Narodowym. W Puszczy Kamienieckiej, w północno-wschodniej części Mazowsza utworzono niedawno rezerwat „Czaplowizna", w którego skład wszedł fragment starego, wyżywicowanego boru. Rośnie on nadal, stanowiąc ostoję wielu zwierząt.

Niestety, trafiają się dowcipnisie - a może nazbyt zagorzali miłośnicy przyrody — którzy odrywają od drzew kubeczki? żywicą i rozrzucają po lesie. Żaden to jednak „zabieg ochroniarski", ale zwykły wandalizm, prowadzący do marnotrawstwa cennego surowca.

Apelujemy: niech blaszane kubeczki pozostaną nietknięte!

(tok)

Fot. T. Kłosowski

NASZA LIGA OCHRONY PRZYRODY ŚPI SNEM ZIMOWYM

Jestem uczniem V klasy. Bardzo lubię przyrodę. Często jeżdżę do lasu i obserwuję życie roślin i zwierząt. Z wielkim entuzjazmem zapisałem się we wrześniu do LOP. Jesienią gromadziłem żołędzie, ziarno słonecznika, kasztany, suszyłem nasiona jarzębiny z myślą o dokarmianiu zimą zwierząt Marzyłem o zebraniach, wspólnych wypadach do paśników, podglądaniu saren, zajęcy, jeleni i rozpoznawaniu śladów na śniegu. Czekałem, czekałem i nic!

Nadeszła wiosna! Do mojego karmnika przychodzi coraz więcej ptaków. W plastikowym wiaderku ptasia rodzina zakłada gniazdo. Wszystko budzi się do życia, tylko nasza liga śpi snem zimowym. Wydrukujcie mój list. Może ktoś zna czarodziejskie zaklęcie, które zbudzi działaczy naszej Ligi?

Maciej Gawlikowski
z Zabrza

STO MINUT NA GODZINĘ

SZWAJCARIA (PAP). W Zurychskim muzeum zegarów największe zainteresowanie zwiedzających wzbudza oryginalny czasomierz skonstruowany w okresie Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Ma on dość niezwykłą historię. W1792 r. matematyk Pierre Laplace zaproponował wprowadzenie nowego, dziesiętnego systemu mierzenia czasu. Pomysł ten został przyjęty. W nowych zegarkach dobę podzielono na 10 godzin, a każdą godzinę na 100 minut. Mistrzowie francuscy i szwajcarscy zaczęli wytwarzać tzw, „rewolucyjne zegarki".

Są one dziś rzadkością ponieważ już w 1806 r. Napoleon powrócił do dawnego systemu pomiaru czasu.



Od ostatniego spotkania korespondentów HSI „Świata Młodych" upłynęło już parę tygodni. Odbyło się ono w Katowicach, a przygotowała je jedna z naszych korespondentek, Kasia Hańska, którą wspomogli Komenda Hufca ZHP w Katowicach oraz jej własny Tata. W imieniu „haesiaków" bardzo dziękuję!

Jak zwykle plonem naszej dwudniowe] zbiórki warsztatowej są teksty; niektóre z nich drukujemy poniżej i zachęcamy Czytelników do lektury.

Ostatnie nasze spotkanie przed wakacjami odbędzie się w połowie czerwca w Warszawie, o czym szczegółowo poinformuję zainteresowanych listownie.

Czuwaj!
Szef HSI „ŚM"
Maria Jaworska

JAK ZAWSZE BYŁO MIŁO, SERDECZNIE I... BRAKOWAŁO CZASU

Zaczęło się bardzo pechowo, Spóźniłyśmy nią dwie minuty na pociąg.

- Niewątpliwie młodniejemy - stwierdziła Iwona - I zobaczysz, że będzie cudownie. Pech przynosi szczęście.

I było cudownie. Kiedy znalazłam się na katowickim dworcu, miałam wrażenie, że to nieprawda, że WIELKA PRZYGODA nie zaczęła się jeszcze. Ale gdy wpadłyśmy w ramiona Jurka i Witka (kochanych weteranów HSI), gdy wreszcie znalazłyśmy się w Ośrodku Harcerskim, poczułam, że znów jestem wśród starych przyjaciół.

Okazało się, że do naszego grona „haesiaków" doszły nowe osoby, korespondenci i laureaci konkursu „Moje harcerstwo". Piątkowy wieczór zleciał więc na zapoznawaniu się i dłuuuugich rozmowach.

Spotkania HSI mają dziwną właściwość - czas leci na nich bardzo szybko, więc i sobota minęła piorunem. Najpierw zwiedzanie zobytkowej kopalni w Tarnowskich Górach; dla mnie, zresztą dla większości ogromna atrakcja. Zaraz potem szybciuteńko do harcówki szczepu Kasi. Przyjęło nas jego komendantka, bardzo energiczna, cudowna kobieta, dh. Barbara Kozioł, która swego czasu założyła w mojej szkole - kieleckim liceum plastycznym 16 Świętokrzyską Drużynę Harcerską „Puszcza". Harcówka - mówię Wam - istne cudo. Funkcjonalna, urządzona ze smakiem, zadbana. Zrobiło mi się strasznie wstyd, bo po remoncie pomieszczeń, w których ma bazę moja drużyna, kącik harcerski jest mizerniutki. Nie ma co, po przyjeździe bierzemy się ostro do roboty!

Wieczorem (jak to mamy w zwyczaju) - teatr i „Amadeusz". A jeszcze później kominek, wręczenie świeżo upieczonym „haesiakom" legitymacji, odznak HSI, i... koniec. Dzień zleciał nie wiedzieć kiedy i aż płakać się chce, że niebawem będziemy się żegnać.

W niedzielę rano już wyjeżdża parę osób. Z tego pośpiechu nie zdążyliśmy uzgodnić, co dalej? Więc króciutka narada: jakie tematy, gdzie i kiedy następne spotkanie. Może Bydgoszcz? Może Warszawa? Obserwuję moich przyjaciół. Witek jak zawsze śmieje się i mówi, mówi, mówi, a druhna patrzy na niego z rozczuleniem, cała wiara śmieje się. I jest tak jak nigdzie i nigdy nie było.

Przychodzi taki okres, że człowiek potrzebuje czegoś więcej niż dom i szkoła. Potrzebne jest wtedy takie HSI. I... koniec.

Iwona Jurecka
korespondent HSI „ŚM"
Staszów

Podziemne królestwo tarnogórskich gwarków

Zatrzymujemy się na jakimś parkingu. To tu? Obok dwa samochody osobowe, nieco dalej kopalnia, ale chyba nikt by o jej nadszybiu nie powiedział: zabytek. Zarówno wieża wyciągowa, maszynownia, pomieszczenia muzeum — to duże, przestronne oszklone hale.

W szatni dostajemy kaski. Sądząc po ich wyglądzie, chyba się przydawały. Po zwiedzeniu części naziemnej muzeum pakujemy się do klatki windy i zjeżdżamy w dół. Dziwne uczucie, jakbyśmy zsuwali się w otchłań, chociaż to tylko 40 m. Pod ziemią wchodzimy w labirynt chodników wykutych w skale; są często tak niskie, że musimy się mocno schylać. Kaski bardzo się przydają.

Coś z historii. Kopalnia wTarnowskich Górach powstała ponad 700 lat temu, zbudowana jest w wapieniach - dolomitach. Wydobywano tu rudy ołowiu, cynku, żelaza, a nawet srebra.

Trwało to do początku naszego wieku, kiedy z powodu wyczerpania złóż zaprzestano jej eksploatacji. Co prawda w niektórych komorach można zobaczyć jeszcze połyskujące żyłki srebra, lecz jego wydobycie jest nieopłacalne. Jak już wspomniałem, na powierzchni kopalnia wcale nie robi wrażenia zabytkowej. Dawniej wyglądała zupełnie inaczej. Naziemne budynki były drewniane, rudy wydobywano metodą odkrywkową, a gdy zalegały zbyt głęboko, drążono w skale chodniki. Wyposażenie techniczne ograniczało się do kieratu lub koła wodnego, które poruszały młoty rozbijające bryły rudy. Obok kopalni rosły hałdy utworzone z wydobytej ziemi.

Gwarkowie - czyli dawni górnicy - zjeżdżali w dół do podszybia na linie, a stamtąd rozchodzili się do swoich miejsc pracy, czyli przodków. Po wyrobiskach wydobywanej rudy pozostawały komory. W tutejszej kopalni są one różnej wielkości, od 500 m kw. do 1500 m kw. Zabezpieczając miejsca pracy górnicy wznosili drewniane obudowy. Trzeszczące belki były dla gwarka ostrzeżeniem, że strop zaczyna się walić i należy jak najszybciej opuścić przodek. Narzędzia pracy górnika, w które był wyposażony to: kilof; młot, niecka, kopaczka i nieodłączna lampka. Używano lampek łojowych; olejnych, a potem upowszechniły się używane do dziś karbidówki. Urobek wydostawano w kubłach na powierzchnię i tu w dużych korytach płukano rudę.

Przechodzimy z komory do komory. wszędzie - mokro, ze szczelin w ścianach spływa woda. W jednym z chodników natrafiamy na studzienkę z jak nas informuje przewodnik - wodą zdatną do picia. Próbujemy. Dobra! W końcu dochodzimy do sztolni odwadniającej, której 270 m odcinek pokonamy na łodziach. Woda była w kopalni wrogiem nr 1. Aby nie zalała chodników, wyciągano ją w specjalnych pojemnikach na powierzchnię. W późniejszym okresie pompowano za pomocą pomp kieratowych, aż wreszcie w 1788 r. sprowadzono z Anglii maszynę parową, która napędzała pompy. Była to pierwsza w świecie tego typu maszyna zastosowana w górnictwie. Ale wody w kopalni wciąż przybywało.

Wybudowano wówczas szereg kanałów, którymi wypływała na powierzchnię. Sama? Jak to możliwe? To proste. Oczywiście, jeśli się zna kilka faktów. Otóż, zwiedzana kopalnia znajduje się 40 m pod ziemią, a obok Tarnowskich Gór jest dolina rzeczki, którą leży 70 m poniżej nadszybia kopalni. Różnica 30 m między poziomami oraz system kanałów są wystarczające, by woda mogła spływać.

Naturalnie, dzisiaj chodniki i komory są odpowiednio zabezpieczone, wybetonowane. Mimo to można sobie wyobrazić jak strasznie ciężko pracowali przez dwanaście godzin dziennie tarnogórscy gwarkowie.

Konrad

KOMINKOWE WSPOMINKI

Są w życiu każdej drużyny, każdego środowiska harcerskiego chwile, o których się nigdy nie zapomina. „Haesiakom" na długo pozostanie w pamięci sobotni kominek.

Na środku sali palą się jasnym płomieniem dwie świeczki. Wkoło, na podłodze siedzi gromadka harcerzy. Są z różnych miast i drużyn, dzielą ich niejednokrotnie setki kilometrów lecz teraz, już, łączy ich piosenka. To nic, że znamy różne teksty tej samej piosenki, to nic, że prawie każdy zna inną jej melodię - śpiewają o przyjaźni i czuwaniu, sprawach tak bliskich wszystkim harcerzom.

Następuje chwila podniosła i uroczysta: Anka z Bydgoszczy, Anka z Warszawy i Magda z Kruszwicy zostają przyjęte do grona korespondentów. Odtąd,z dumą nosić będą „światomłodową" odznakę HSI. Druhna redaktorka wręcza im pamiątkowe książki o Andrzeju Małkowskim:

- Obyście były tak wytrwałe i potrafiły tak nieugięcie dążyć do celu jak on...

Uhonorowane przyjmują gratulacje, życzenia, całusy. Potem śpiewamy „Krajkę" — ulubioną piosenkę „haesiackich" spotkań. W naszej gromadzie obok nowicjuszy są także „starzy", wypróbowani korespondenci, którzy niejedno spotkanie przeżyli i wiele piór w swym życiu złamali; I wspominają... Iwony z przejęciem opowiadają o gdańskich warsztatach dziennikarskich. Witek wspomina jak kiedyś na CAS-ie przebrał się za druhenkę i przyjmował pełne politowania spojrzenia, a także złośliwe uwagi na temat długości swych stóp... Miło się słucha, czasami aż zazdrość bierze. A oni mogliby tak wspominać długo, lecz, niestety, robi się bardzo późno. Na zakończeniu, w kręgu, pieśń pożegnalna. O czym teraz myślą? Chyba o tym. że już jutro rozstaną się i będą wyczekiwać kolejnego spotkania. A może wtedy Ty będziesz razem z nimi, razem z nami. Spróbuj - przyjmiemy Cię bardzo serdecznie i przyjaźnie!

Kasia Hańska
korespondentka HSI „ŚM"
Katowice

AMADEUSZ

Teatr, to takie zaczarowane miejsce, w którym stajemy się obserwatorami i sędziami czyjegoś ludzkiego życia. Płynie ono tuż przed naszymi oczyma, czujemy niemal oddech aktorów, którzy wcielili się w najróżniejsze postacie. W teatrze fascynuje mnie magia słowa, magia gestów. I cieszę się, że wizyty u Melpomeny są stałymi punktami w programach naszych warsztatowych spotkań.

Tym razem dzięki Teatrowi Śląskiemu przenieśliśmy się na dwór Józefa II, na który przybyło właśnie rozpieszczone dziecko Europy - Mozart. Od pierwszej sceny „Amadeusz" Petera Shaffera w reżyserii Jana Maciejewskiego, wciągnął mnie tak, jak może wciągnąć opowieść o życiu, przeszłości, wielkim człowieku. Śledzę akcję na scenie i próbuję odpowiedzieć sobie na pytania: jaki był Mozart naprawdę?

Czy winnym swego późniejszego ubóstwa, a w konsekwencji przedwczesnej śmierci jest on sam, czy w dużym stopniu przyczynił się do tego Salieri, również kompozytor, konkurujący o pierwszeństwo z Amadeuszem? Czy to Mozart nie rozumiał świata, czy świat nie rozumiał Mozarta?

Z drugiej strony nie potrafię całkowicie potępić Salieriego, nadwornego kapelmistrza, bo przecież w każdym z nas drzemią jakieś złudzenia, sny o potędze... Salieri jest w gruncie rzeczy człowiekiem nieszczęśliwym, żyjącym ze świadomością, że los nie obdarzył go takim talentem jak Mozarta. Pozostaje mu więc podziwiać Amadeusza lub go nienawidzieć. Wybiera to drugie. Sztuka jest więc opowieścią o zemście Salieriego za to, że Mozart zabrał mu Muzykę... Kiedy ta Muzyka popłynęła z głośnika, przypomniałam sobie słowa Einsteina: „oto czysty dźwięk, uładzony w nieważki kosmos, przezwyciężenie wszelkiego, ziemskiego chaosu". A przypomniałam sobie te słowa dlatego, bo ten „czysty dźwięk" płynął z trzeszczącego głośnika.

Druga część spektaklu jest bardziej dramatyczna, mniej tu dłużących się scen, jest coś, co każe w napięciu śledzić powolne umieranie Mozarta, jego wciąż nie gasnący zapał w pracy, niechęć jego współczesnych, którzy go nie rozumieją i nie doceniają. Jeden Salieri zna wartość muzyki swojego konkurenta; wie, że nie ma w niej żadnej zbędnej nuty, że nawet cisza ma w niej głęboki sens i wymowę.

Szczególnie w tej drugiej części spektaklu podziwiałam grę Jerzego Kuczery, odtwarzającego postać tytułowego bohatera sztuki. Wspomnę też o postaci drugoplanowej - lokaja, zagranego świetnie przez Marka Bieleckiego, który często ściągał na siebie wzrok widzów swoją pokraczną figurą, miną pokojowego pieska i lokajskimi manierami.

Pamiętam, że pod koniec spektaklu poczułam pod powieką łzy. Czy to było w momencie, kiedy Mozart W ostatnich chwilach swego życia chce zdążyć jeszcze dokończyć swoje „Requiem", śpiewa dziecięce piosenki i wciąż drżącą ręką dyryguje niewidzialną orkiestrą ...? Umiera w nędzy, ale zmartwychwstaje. Jego życie to prawdziwy bunt kwiatu przeciwko swoim korzeniom.

„Amadeusz" spowodował, że zainteresowałam się Mozartem, zmusił do zastanowienia się nad jego życiem, nad naszym życiem. I za to chciałabym Teatrowi Śląskiemu podziękować.

Iwona Jaworska
korespondentka HSI „ŚM"
Staszów





Jestem czy nie jestem najładniejsza?

Mam 13 lat, chodzę do kl. VI. Moje koleżanki uważają, że jestem bardzo ładna i że mam duże powodzenie u chłopaków. Co prawda Robert dał mi kasetę z „Kajagoogoo", a Grześ raz mnie pocałował, ale czy to znaczy, że wszyscy się we mnie kochają?

Mam tylko jednego prawdziwego kolegę i to mi wystarcza. Jestem typowym przykładem zakompleksionej dziewczyny. Noszę okulary, ale akurat one mi nie przeszkadzają. Wręcz przeciwnie, uważam je za ozdobę, ponieważ są dobrze dobrane. Mam blond włosy, szare oczy, bardzo dbam o cerę, ale mimo wszystko ciągle coś mi przeszkadza. A to zbyt grube - moim zdaniem - uda, a to coś innego. Ostatnio mama kupiła mi dżinsy. Bardzo ładnie w nich wyglądam i to znacznie poprawiło mi humor. Coraz częściej przeglądam się w lustrze (może nawet zbyt często). Nie uważam się wcale za Miss-Polonię, ale jak na taką „maszkarę" jak ja, wyglądam ładnie. Niedawno dotarło do mnie, że jeden z chłopaków z mojej klasy twierdzi, iż jestem najładniejsza w klasie. Ja uważam zupełnie kogo innego za miss klasy - ale niech mu będzie, nie będę się spierać.

Stawiam sobie pytanie: kto ma rację? Czy oni, którzy uważają mnie za fajną i ładną, czy ja - ciągle wyszukująca w sobie wady?

Ilona

1 a druga

Piszę do „RP", gdyż nie umiem znaleźć nigdzie pocieszenia i pomocy. Kocham chłopaka o imieniu Mirek. Jeszcze nie tak dawno wszystko było dobrze - on twierdził, że mnie kocha - ja wierzyłam.

Przyszły ferie. Wyjechałam na zimowisko, Mirek na Węgry. Gdy wróciliśmy, dość długo na niego czekałam. Ani nie dzwonił, ani nie przychodził. Widywałam go jak wychodził z psem i wygłupiał się z koleżankami. W końcu - spotkałam go. Zorientowałam się, że coś jest nie tak. Po dwóch dniach moja koleżanka Ewa powiedziała mi, że widziała go z inną dziewczyną w mieście. Nigdy nie przewidywałam takiego końca...

Pewnego dnia byłam u Ewy w domu, a tu nagle wchodzi Mirek. Schwyciłam kurtkę, buty i schowałam się do łazienki. Słyszałam co mówił na mój temat. Nie chciałam, ale słyszałam - Powiedział wtedy wiele kłamstw, np. że ja mu zaproponowałam chodzenie, co mnie najwięcej dotknęło. Kilką dni przed tą rozmową mówił Ewie, że dawno już ma inną dziewczynę, mnie traktuje jako drugą. A przecież mówił mi wtedy, że kocha tylko mnie.

Jestem zrozpaczona. Nie wiem jak powinnam snę zachować. Kiedy chciałam z nim porozmawiać, nie było go w domu. Mam jego zdjęcie i ono doprowadza mnie bardzo często do płaczu. Nie potrafię znaleźć sobie miejsca. Może Czytelnicy mi pomogą.

Lucyna

Nikt mnie nie lubi

Mam 14 lat i chodzę do siódmej klasy. .Uczę się dosyć dobrze. Są chwile, kiedy bardzo lubię przebywać wśród kolegów z mojej klasy, ale zdarza się, że wszystkich nienawidzę. Wtedy zamykam się w sobie. Wydaje mi się, że ciągle jestem wyśmiewany i nikt mnie nie lubi. Przyglądając się sobie w lustrze, widzę jaki jestem wstrętny i wiem, że nikomu nie mogę się podobać. Nawet nowi koledzy uwają, że jestem brzydki. Z tego powodu nie chodzę do dyskoteki i czuję się odrzucony. Nie mam żadnego przyjaciela, dlatego zwracam się do czytelników „RP", żeby poradzili mi co mam zrobić, by mnie lubiano?

Krzysztof

OD REDAKCJI: Prosimy Bożenę N. z Chorzowa, Jimmi z Augustowa oraz Inez z woj. kaliskiego o podanie swoich adresów. Chcemy Wam pomóc! Napiszcie koniecznie!

Nauka i życie

„Fastrygowanie" głowy

„Odwróciła się i nagle ujrzała coś, co sprawiło, że drgnęła jak porażona prądem.

Patrzyła na nią ludzka głowa — tylko głowa, nic więcej. Była przymocowana do kwadratowej szklanej płytki, którą podtrzymywały cztery wysokie błyszczące metalowe nóżki. Przez otwory w szkle biegły od przeciętych żył i tętnic prowadzące do butli połączone rurki, z których najgrubsza wychodziła z gardła i łączyła się z dużym cylindrem. Butle i cylinder zaopatrzone były w zawory, manometry, termometry i jakieś nie znane przyrządy.

Głowa mrugając powiekami patrzyła uważnie i ze smutkiem. Nie mogło być żadnych wątpliwości; ta głowa oddzielona od ciała żyła życiem samodzielnym i świadomym..." [*]

Jak łatwo się domyślić, powyższy opis to fragment powieści fantastyczno-naukowej. Jednak współczesna medycyna ma już na swoim koncie równie szokujące doświadczenia, choć na razie w roli pacjentów wystąpiły zwierzęta.

Neurofizjologom udało się wyjąć z czaszki mózg małpy i utrzymać go przy życiu przez kilkanaście godzin! Pomyślnie zakończył się także zabieg wszczepienia psu głowy innego psa i stworzenie na pewien czas psa dwugłowego! Największy rozgłos uzyskał eksperyment amerykańskiego chirurga Roberta White'a, który... zamienił głowy dwóm pawianom! Zwierzęta z nie swoimi głowami żyły zaledwie tydzień, ale i tak doświadczenie to uznano za jedną z największych sensacji naszego wieku...

Zacznijmy jednak od początku. Historia współczesnej transplantacji jest bowiem niedługa i zaczęła się zgoła niewinnie.

W roku 1958 lekorze greccy uratowali słuch pacjentowi wszywając mu zdrowy bębenek uszny. Sukces zachęcił lekarzy do dalszych badań. Na początku lat sześćdziesiątych przeszczepiono nieuleczalnie choremu człowiekowi płuca. W roku 1967 profesor Barnard przeprowadził historyczną operację transplantacji serca. Dokonanie tego skomplikowanego zabiegu rozwiało mit o niemożności zastąpienia pewnych narządów w organizmie człowieka i upowszechniło nowy sposób leczenia. Przeszczepy kości, skóry, szpiku kostnego, nerek - to dzisiaj już prawie chirurgiczna codzienność.

Dalszy postęp w dziedzinie transplantacji zapowiada wynaleziona niedawno przez lekarzy z Baltimore (USA) technika konserwowania narządów pobranych z ciała martwego dawcy. Dotychczas zasadniczą przeszkodą w operacjach przeszczepu był zbyt długi czas dostarczania na salę operacyjną odpowiednich organów. Zastosowanie płynu konserwującego pozwala np. zachować ich nie zmienioną strukturę przez 12 godzin, a więc dostatecznie długo, by przetransportować je drogą lotniczą nawet do bardzo oddalonych od siebie miejscowości.

Postęp w dziedzinie transplantologii budzi jednak wiele oporów moralnych. Problem staje się szczególnie drastyczny przy przeszczepach serca, płuc czy wątroby. Uzyskanie „materiału" do operacji musi być poprzedzone śmiercią innego człowieka, Trudno w tej sytuacji całkowicie wykluczyć brudne machinacje związane z handlem niezbędnymi dla życia pacjenta narządami.

Jeszcze więcej zastrzeżeń wywołują doświadczenia z przeszczepianiem głów. Teoretycznie nic nie stoi na przeszkodzie, aby udoskonalić technikę tych makabrycznych operacji. Specjaliści twierdzą nawet, że głowa człowieka ma lepiej uformowane żyły i mięśnie, więc łatwiej jest „przyfastrygować" ją do tułowia niż przeszczepić serce. Człowiek z obcym tułowiem zachowałby najprawdopodobniej pamięć i inteligencję. O wiele trudniej byłoby mu kierować ruchami ciała. Naukowcy nie potrafią jeszcze połączyć ze sobą 20 milionów zakończeń nerwowych łączących mózg z tułowiem...

Niewykluczone więc, że wcześniej czy później ktoś dojdzie do wniosku, że szare komórki geniusza są zbyt cenną substancją, aby pozbywać się ich wraz ze śmiercią właściciela. Koszmarny pomysł, aby utrzymać przy życiu samą głowę, być może nie jest wcale tak fantastyczny, jakby się mogło wydawać.

Dzisiaj jednak tego typu rozważania mogą stanowić co najwyżej kanwę powieści science-fiction. Większość lekarzy zdecydowanie potępia takie doświadczenia. Słynny profesor Barnard publicznie ogłosił, że uważa przeszczepianie mózgu za działanie sprzeczne z etyką zawodową:

Idea tego eksperymentu jest amoralna i wątpliwa z punktu widzenia prawa. Jaki rodzaj egzystencji moglibyśmy ofiarować tym ludziom, nawet gdyby te paradoksalne operacje miały szansę powodzenia?

Czy jednak apele i autorytet wielkiego uczonego wystarczą, aby badania w medycznych laboratoriach skierować na bardziej humanitarne tory?

JUSTYN OPARA

[*] W. Bielajew. Głowa profesora Dawella



Wirażе współczesnego sportu

PLAGA

Sport przeżywa swój kryzys. Nie mamy tu na myśli jego poziomu, wyników - te są coraz znakomitsze i mogą jedynie wzbudzać zachwyt. Kryzys dotyczy nie boisk, ringów, torów, lecz okalających je trybun. Tam coraz częściej wieje grozą. Awantury, dewastacja urządzeń, bójki stają się zjawiskiem codziennym, normalnym. Ta codzienność dotyczy jeszcze niszczenia wnętrz wagonów i autobusów, którymi podążają na mecze „kibice", zaczepiania (a nawet bicia) ludzi postronnych... Straty materialne są znaczne, co zresztą dają się wyliczyć. Nikt jednak nie jest w stanie stwierdzić rozmiaru strat moralnych; szeregi chuliganów na stadionach wzrasta-ją z roku na rok...

Gdzie tkwi przyczyna tego rodzaju zjawiska? Pytanie, wbrew pozorom, jest bardzo złożone i trudno jest dać wyczerpującą odpowiedź. Ale spróbujmy to uczynić.

W dzisiejszym sporcie wyczynowym, a zwłaszcza w hokeju, boksie, zapasach, piłce ręcznej i nożnej... trudno jest doszukać się subtelności. Coraz mniej jest w nim miejsca dla ludzi traktujących sport jako sztukę, rozrywkę, hobby. Dominuje siła, przebiegłość i brutalność, a czasami i zwykłe chamstwo. Bo jakże inaczej można nazwać ordynarną „pyskówkę" między samymi zawodnikami (rękoczyny też dają się zauważyć) lub znieważanie przez nich sędziego. Dążenie do zwycięstwa za wszelką cenę staje się niczym innym jak wynaturzeniem, ba - zaprzeczeniem istoty sportu. Brutalność z boiska błyskawicznie przenosi się na trybuny. Zapatrzeni w swoich idoli kibice, często „podminowani" alkoholem, biorą z nich przykład. Tłum, jak świadczą liczne przykłady, jest niezwykle „zapalnym materiałem". A to dlatego, że ukryte w nim jednostki mogą robić dosłownie wszystko anonimowo, a więc bezkarnie. Z anonimowości korzysta się zatem do woli, o czym świadczą przekleństwa, połamane ławki, wybite szyby, zniszczone wagony, lecące na boisko przedmioty.

Zwyrodniałą atmosferę tłumów podsycają niekiedy... sędziowie. W wielu dyscyplinach rolę arbitra pełni bezbłędnie taśmą miernicza, fotokomórka, chronometr, itp. Ale są i takie, w których dowolność interpretowania przepisów oraz ich egzekwowania jest dość duża. Bywa, że nawet na imprezach najwyższej rangi (mistrzostwa świata, kontynentu, kraju) trudno o jednomyślność sędziów. Kiedy jeden z nich wskazuje zwycięskiego w walce zawodnika, drugi uznaje go za... pokonanego. Mamy tu do czynienia głównie z nieudolnością przedstawicieli sportowej Temidy. Jednak zdarzają się wypadki zwykłej nieuczciwości. A jeden zły przykład czyni niepowetowane wprost straty. Kibice zaczynają patrzeć podejrzliwie także na arbitrów uczciwych i po swojemu, w rożny sposób, tłumaczą ich sprawiedliwe werdykty.

Kibicowski szowinizm jest taki stary jak sam sport. Każdy ma swoją ulubioną drużynę, zawodnika i dopinguje do sukcesu. Jeżeli ten doping mieści się w ramach'przyzwoitości — wszystko jest w porządku. Ale bywa i tak, że opacznie pojęta miłość do danego zespołu prowadzi do nietolerowania np. zwycięstwa innej drużyny. A rywalowi można utrudnić grę: gwizdami, ordynarnymi okrzykami, rzucaniem na boisko różnych przedmiotów.

Do niedawna uważano, że ekscesy na naszych stadionach są chwilową modą, naśladowaniem zachodniego modelu kibicowania. Dzięki telewizji można było skopiować wydarzenia z Anglii, Holandii, Włoch. Osławione pociągi grozy kursowały rzeczywiście najpierw między Londynem a Liverpoolem, Amsterdamem a Eindhoven, Rzymem a Mediolanem. Ale wbrew przewidywaniom moda nie minęła. Okazało się, że nadwiślański fan jest w dużej części wytworem rodzimym, wytworem moralnego kryzysu, przychodzących na stadiony ludzi.

Jak długo jeszcze można tolerować taki stan rzeczy? Doraźne działania. Surowe i konsekwentne, potrzebne są od zaraz. Tłumy aroganckich pseudokibiców należy uciszyć równie ostrą bronią - przez służby porządkowe, a następnie sądowymi wyrokami. Niszczycielskie zastępy podróżujących pociągami szaleńców muszą w końcu naprawić poczynione szkody. Dużo więcej należy wymagać od zawodników; ich wykroczenia dyscyplinarne nie mogą pozostać bezkarne. Sędziowie, w wypadku fatalnego zachowania się widowni, powinni przerywać mecze i zamknąć dany obiekt na pewien czas. Nazywający się kibicami chuligani dojdą wreszcie do wniosku, że rozrabianie nie popłaca, że swoim postępowaniem ukarzą swój zespół koniecznością gry na innych stadionach. Ukarzą więc i siebie.

Dalecy jesteśmy od stwierdzenia, że doraźne działania przyniosą długotrwały skutek. Należyte rozwiązanie omawianego tu problemu osiągniemy inną metodą - metodą uczenia szacunku do sportu. Tę naukę trzeba zacząć już w przedszkolu.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI
Fot. **W. Giers**

P.S. Krwawy finał miały ostatnie derby Buenos Aires (Argentyna) „Boca Juniors"-„Independiente". Między kibicami obydwu drużyn rozgorzała bójka, w wyniku której jedna osoba poniosła śmierć, 20 zostało rannych, kilkadziesiąt aresztowanych. Ofiarą gęsto sypiących się pocisków — kamieni i butelek — padł 14-letni kibic.

Z czterech stron świata

Ząb za ząb!

(„Kontynenty"). Pewien mieszkaniec miasta Omdurman w Sudanie, który postradał w bójce ząb, zaskarżył sprawców do sądu. Nie zgodził się jednak na przyjęcie przeprosin ze strony dwu krzywdzicieli, odrzucił też proponowaną przez nich materialną rekompensatę. Jedyne, co go zadowoliło, to dokładne zastosowanie szarłatu (religijnego prawa muzułmańskiego), czyli - ząb za ząb!

Sprawę rozpatrywały kolejne instytucje, włącznie z sądem najwyższym, który wydał wyrok korzystny dla powoda: każdego z pozwanych należy pozbawić jednego zęba - bez środków znieczulających.

P a m i ę ć

Wasi koledzy i koleżanki z III klasy szkoły podstawowej w Bóbrce koło Krosna postanowili uporządkować teren wokół skromnego obelisku, upamiętniającego walkę jednostek Korpusu Czechosłowackiego prowadzoną podczas Karpacko-Dukielskiej operacji 38 Armii Radzieckiej.

Wzgórza, które widać na fotografii w tle pomnika, były w rękach Niemców. Nieprzyjaciel zażarcie bronił dostępu do Przełęczy Dukielskiej. Niekorzystne dla nacierających ukształtowanie terenu spowodowało ogromne straty wśród żołnierzy czechosłowackich.

Wykonywana przez trzecioklasistów praca społeczna jest jednocześnie poglądową lekcją historii. Wychowawca tej klasy, pan Zbigniew Mermon, doskonale zna przebieg walk, które miały tu miejsce 9 września 1944 roku, i opowiada o nich swoim podopiecznym. Szkoda tylko, że poza lekcją historii, dla dzieci z Bobrki jest to jednocześnie lekcja partackiej roboty.

Pomnik postawiono zaledwie kilka lat temu, a płyta u jego podstawy już się rozsypuje. Może chociaż ta notatka zawstydzi kogo trzeba? **(mjm)**

Fot. **M. Szymański**



OSTATNI REJS „TRAUGUTTA”?

Powołana do tycia w 1948 roku „Żegluga na Wiśle", nie dysponowała praktycznie żadnym sprawnym statkiem. Cała przedwojenna flota „Vlstuli" została w czasie działań wojennych zniszczona lub zatopiona. Stopniowo wyciągano więc z dna rzeki i remontowano kolejne jednostki. W początkach lat 50 pływało już po Wiśle kilkanaście pasażerskich bocznokołowców. Poczciwe parostatki na trwałe wpisały się w wiślany pejzaż wożąc wycieczkowiczów na spacery, majówki, pikniki. Z komina buchał dym, łopatki koła napądowego pracowicie młóciły rzeczny nurt, a kapitan na swoim mostku dumnie ćmił fajeczką. Cóż to był za widok!

Wisła była wtedy żeglowna na większym odcinku i wypływano także na dłuższe trasy. Ogromnym powodzeniem cieszyły się rejsy wczasowe.

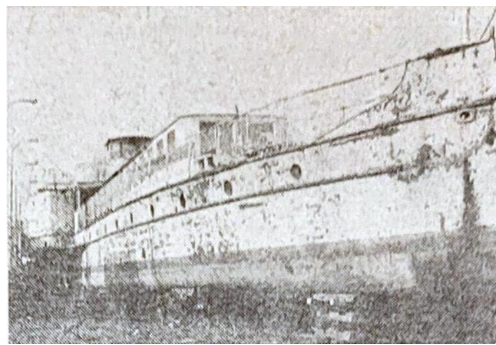
Wczasowicze przebywali na statku 8 dni mając zapewniony nocleg w kajutach i całkowite wyżywienie. W tym czasie statek płynął z Warszawy do Gdańska i z powrotem. Program przewidywał także zwiedzanie Płocka i Torunia oraz wycieczki do Gdyni i Oliwy.

Z czasem jednak wysłużone parowce zaczęto wycofywać z eksploatacji, zastępując je statkami spalinowymi. W czarnym dla wiślanej żeglugi roku 1966, zakończyło swój żywot aż 8 parostatków. Część pocięto na złom, inne przerobiono na pływające hotele. Dni pozostałych jednostek parowych także były policzone.

Smutny bilans dnia dzisiejszego wygląda następująco: flagowy „Bałtyk", doszczętnie zrujnowany dogorywa gdzieś na Mazurach; ocalałe po pożarze resztki „Racławic" stanowią, wątpliwą ozdobę warszawskiego klubu „Delfin"; niezdolny do poruszania się o własnych siłach „Świerczewski" służył przez pewien czas jako baza szkoleniowa Yacht Klubu Polski, aż osiadł na dnie przystani na Zalewie Zegrzyńskim; „Traugutta" uchroniła ód złomowania decyzja, uznająca ten „relikt przeszłości" za zabytek kultury materialnej. Przycumowany do nabrzeża Portu Praskiego, spokojnie rdzewiał oczekując lepszych czasów.



Pod koniec swego pracowitego żywota „Traugutt" przemianowany na „Daniela" stał się pływającym hotelem dla marynarzy



Jesienią ubiegłego roku „Traugutt" odbył swój ostatni rejs.

Przyholowano go na pochylnię portu w Płocku, chroniąc przed zatonięciem. Przeżarty rdzą kadłub mógłby nie wytrzymać zimowych nawałnic.

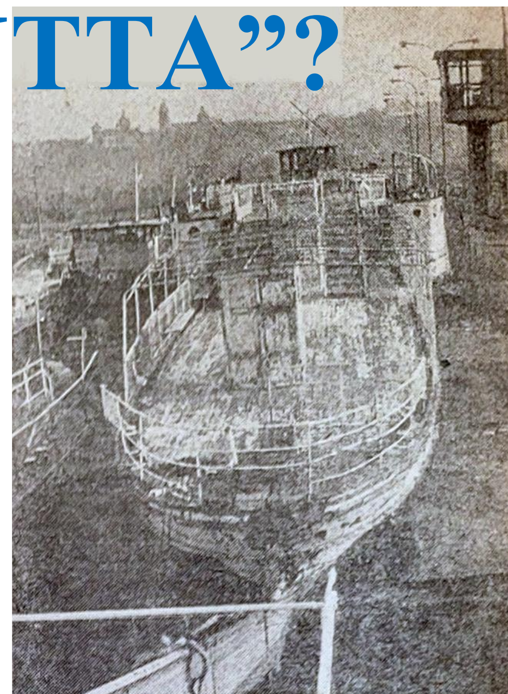
Bogaty wujek potrzebny od zaraz

Dyrektor Andrzej Gieśliczak nie ukrywa, że sfatygowany „Traugutt" jest dla Żeglugi Warszawskiej kulą u nogi. Przedsiębiorstwo nie jest w stanie udźwignąć ekonomicznego ciężaru remontu statku, a „na żyletki" też go nie odda, bo to przecież zabytek.

- *Ekspertyza wykazała, że koszt reanimacji parowca wyniósłby co najmniej 100 milionów złotych. Z naszego punktu widzenia jest to więc inwestycja zupełnie nieopłacalna. Tym bardziej, że nie chodzi tu już o remont, lecz wybudowanie repliki dawnego parowca* - wyjaśnia dyrektor.

Nie wiadomo także, jak miałby wyglądać odremontowany „Traugutt". Podczas swego aktywnego życia był on wielokrotnie przebudowywany i gdy wycofywano go z eksploatacji, znacznie różnił się od pierwowzoru. Przy opracowywaniu dokumentacji decydujące zdanie w tej sprawie należy do konserwatora zabytków.

Sprawa ślimaczy się latami nie tylko z powodu troski o historyczne szczegóły. Równie ważnym problemem są trudności techniczne. Ze świeczką



należy dzisiaj szukać fachowców potrafiących budować kadłub od dawna już zaniechaną metodą nitowania. A gdzie znaleźć producenta, który podjąłby się wykonania maszyny parowej? Na indywidualny odlew kotła też niełatwo kogoś namówić.

W obliczu takich trudności Żegluga Warszawska zupełnie serio rozpatruje projekt wykorzystania „Traugutta" w roli pływającego eksponatu muzealnego.

Jednak, aby doprowadzić kompletnie zdewastowany statek do stanu używalności, trzeba wyasygnować - bagatelka - 50 milionów złotych! Najprościej byłoby więc wyciągnąć staruszka na brzeg. Atrakcja dla zwiedzających byłaby mniejsza, ale ocalono by od zapomnienia cząstkę historii.

Zainteresowanie kłopotliwym zabytkiem przejawia również Muzeum Techniki w Warszawie, Liga Morska w Gdańsku, a nawet PTTK. Jednak - jak twierdzi dyrektor Ciesliczak - dobre chęci i entuzjazm to za mało.

Potrzebne są jeszcze pieniądze, których niestety instytucje te w dostatecznej ilości nie posiadają. Pozostaje nadzieja, że do sędziwego parowca poczuje sentyment jakiś zamożniejszy mecenas. Wyciągnięty na pochylnię portu w Płocku statek-widmo nadal czeka na wyrok...

„Traugutta" zbudowano w 1926 roku w elbląskiej stoczni F. Schichana, nadając mu nazwę „Goniec". Trzy lata później powiększył on szeregi floty „Vistulowej". Pływał na trasie Warszawa-Płock i Warszawa-Toruń.

Po wojnie wydobyto go z dna Wisły i wyremontowano i przebudowano. Regularne rejsy rozpoczął w 1950 roku, przewożąc pasażerów i ładunki na trasie Warszawa-Gdańsk.

JUSTYN OPARA
Fot. **autora**

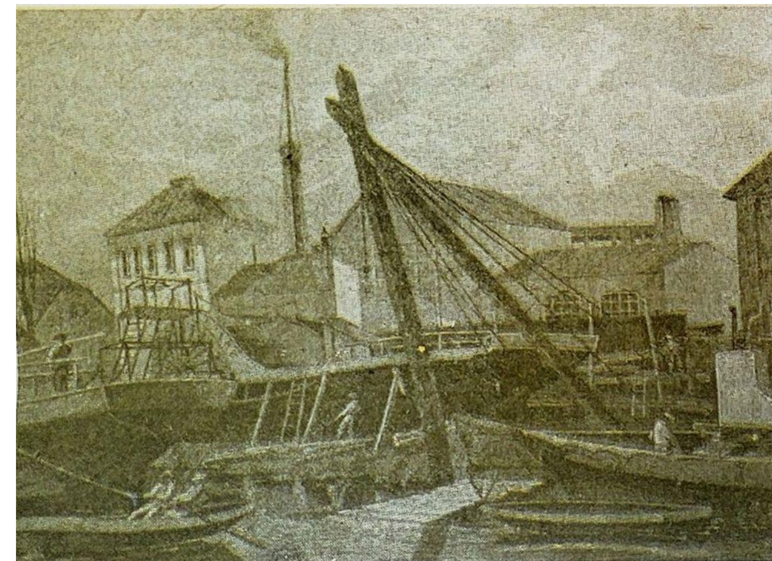
Niezwykłe dzieje wiślanych paropływów

W wydanej w połowie dziewiętnastego wieku rozprawie „O machinach parowych..." bardzo pochlebnie wyrażano się o zastosowaniu napędu parowego do poruszania statków. Paropływom przepowiadano wielką przyszłość. Jednak historia naszej żeglugi parowej zaczęła się kilkanaście lat wcześniej i zgoła niefortunnie.

W roku 1827 bankier Piotr Steinkeller oraz przemysłowiec Konstanty Wolicki sprowadzają z Anglii dwa drewniane parowce. Jeden przeznaczony był do przewożenia pasażerów na wycieczki morskie, drugi, płaskodenny, miał za zadanie „próżne statki w górę rzeki holować".

Pojawienie się statków w gdańskim porcie tak relacjonowała „Gazeta Krakowska":

„«Książę Ksawery» z zupełnym aparatem na siłę 40 koni przeznaczony jest do podróży po morzu. Drugi, «Victory» zwany, budowany płasko ma być holowany do Warszawy. A że statki parowe są nowym zjawiskiem dla miasta Gdańska, przeto konsul jeneralny rosyjski, radca kolegialny W. Makorowicz, Chcąc zrobić przyjemność mieszkańcom sprosił na pokład tych statków pierwsze osoby stanu cywilnego i dwieście pięćdziesiąt osób obojej płci przyjął wspaniałą ucztą".



Warsztaty Żeglugi Parowej na Solcu

Jednak entuzjazm okazał się przedwczesny. Z niezbyt jasnych powodów rejsy wycieczkowe „Księcia Ksawerego" na trasie Gdańsk-Hel szybko zostały zawieszone. „.Znacznie gorszy los spotkał „Victorię". Statek miał tak duże zanurzenie, że szorował dnem po piachu i o żadnej nawigacji na rzece nie mogło być mowy. Na dodatek w czasie podróży pękł kocioł parowy. Z wielkim trudem doholowano statek do stolicy, gdzie przy potoku pod Bielanami ugrzązł na amen. Pociechę z unieruchomionego „cudu techniki" miało tylko dobroczynne Towarzystwo Zupy Rumfordzkiej, pobierając od gawiedzi opłaty za zwiedzanie dziwoląga.

Niepomyślne początki nie zahamowały zainteresowania parowcami. W latach 1830-1840 Smirnow, były mechanik arsenału warszawskiego przeprowadził szereg doświadczeń mających na celu uruchomienie pierwszego polskiego statku napędzanego maszyną parową o mocy 6 koni. Próby zakończyły się fiaskiem, ale sprawa nabrała rozgłosu. Kilka lat później w obecności pisarza aktowego utworzono „Spółkę Żeglugi Parowej na Rzekach Spławnych Królestwa Hrabia Zamoyski et Compania", co było początkiem rozkwitu żeglugi wiślanej.



Na podstawie wzmianek historycznych udało się. odtworzyć wygląd „Xięcia Ksawerego" — pioniera naszych paropływów

Obrotni przedsiębiorcy ze Spółki nie ograniczyli swojej działalności do zakupu zagranicznych statków. Własnymi siłami wybudowali stocznię, będącą jednym z najnowocześniejszych zakładów przemysłowych w Warszawie. Wiślana flotylla rosła jak na drożdżach. Tuż przed Powstaniem Styczniowym rzeczna armada Zamoyskiego liczyła już: 7 parowców pasażerskich, 9 holowników, 48 gabar, czyli żelaznych barek bez napędu służących do przewozu ładunków oraz 12 pływających przystani.

Parowce prezentowały się coraz okazalej.

Dzięki zachowanemu opisowi możemy odtworzyć wygląd „Płocka", jednego z najelegantszych wówczas parostatków „z całym komfortem angielskim urządzonego":

„Smukły kadłub wyposażono na rufie w herb w kształcie głowy jesiotra. (...) Linowe odciągi utrzymywały w pionie blaszany komin. Na krawędziach tamborów widniała wypisana złotymi literami nazwa statku"*.

W przedniej części statku znajdowało się pomieszczenie dla pasażerów drugiej klasy, zwane salonem. Na ścianach zawieszono dużo luster, co powiększało wrażenie przestrzenności. Umeblowanie składało się z ustawionych wśród ścian wyplatanych trzciną ławek oraz stolików i ruchomych krzeseł.

Kajuty pierwszej klasy urządzono jeszcze bardziej szykownie.

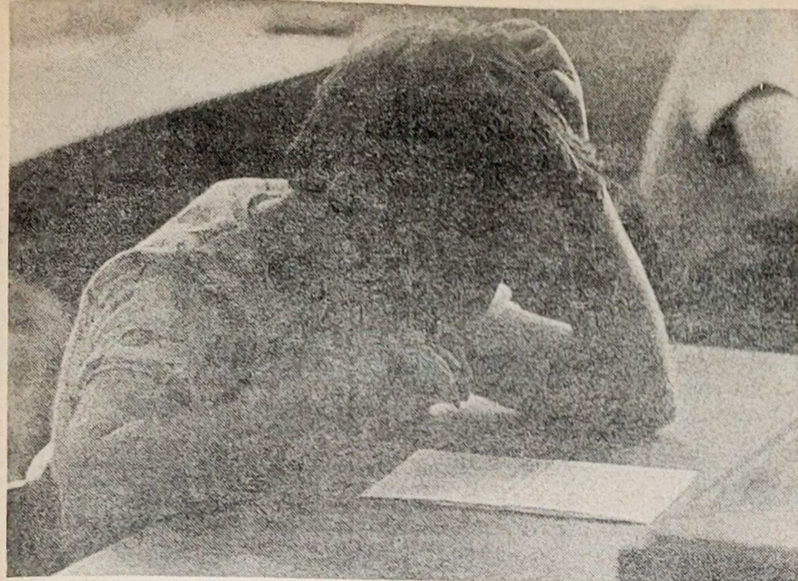
Schody z pokładu prowadziły do jadalni o ścianach wyłożonych politurowanym jesionem. „Buduar dla dam" miał wystrój mahoniowy. Kanapki i foteliki obite były atłasem. Na ścianach wisiała cała galeria obrazów, sławnych wówczas malarzy. W czasie posiłków przygrywała orkiestra, a obsługa restauracji prześcigała się w uprzejmościach.

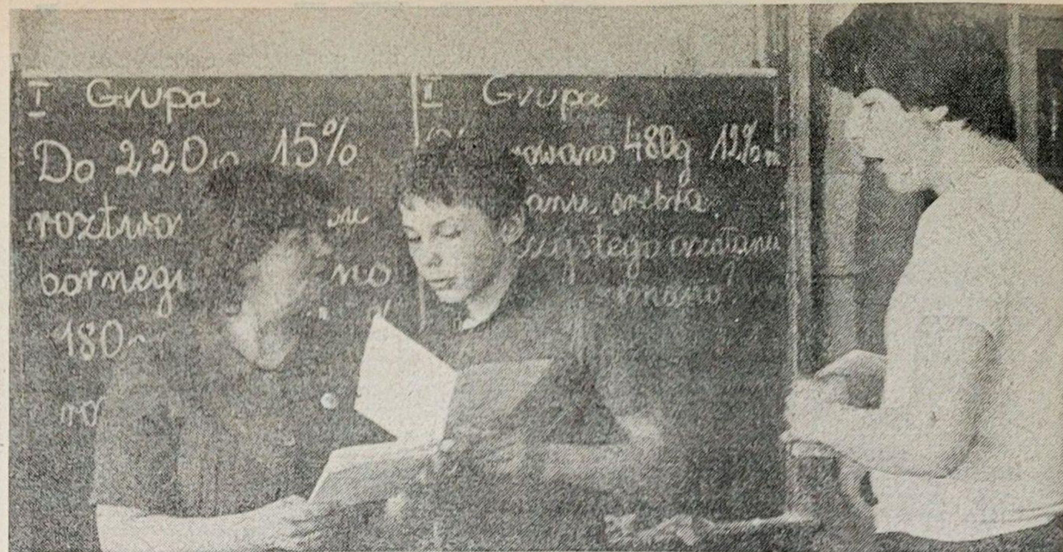
Nic dziwnego, że choć bilety były drogie, chętnych do podróży nie brakowało.

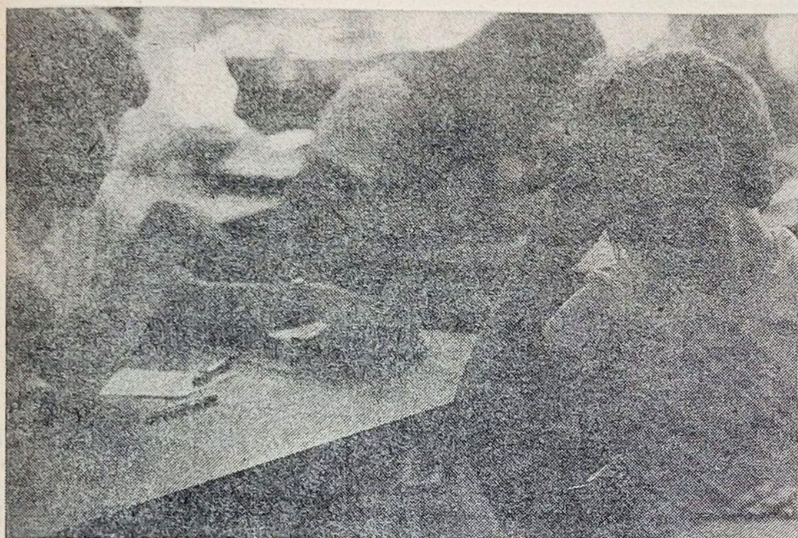
I z pewnością w tej iście bajecznej scenerii rejs nikomu się nie dłużył...

JUSTYN OPARA

* Witold Arkuszewski „Wiślane statki pasażerskie w XIX i XX wieku"

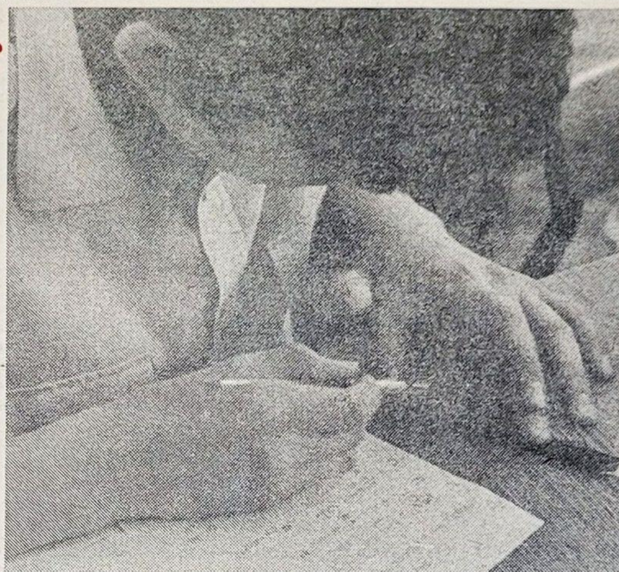






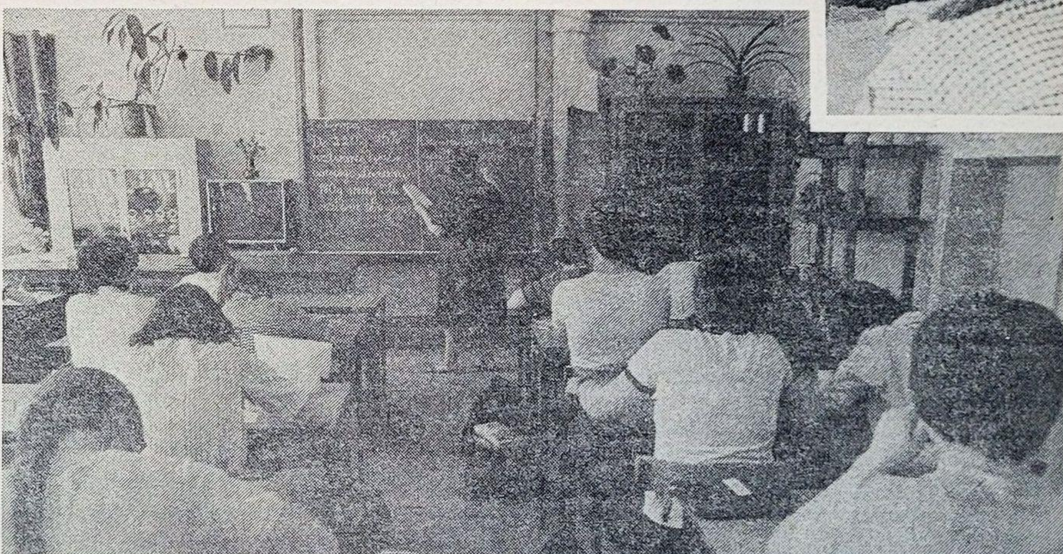
PRZED WAKACYJNĄ METĄ

Fot. JACEK ŁOPUSZYŃSKI









Leksykon pojęć reanimowanych

ODWAGA CYWILNA

Piszę o „cywilnej". Trochę czym innym jest jednak odwaga żołnierza na wojnie - i obyśmy jej przykłady poznawali tylko ze starych filmów! Piszę o cywilnej, bo kolejne pokolenie Europejczyków, a wśród nich i Polaków, żyje życiem cywilnym. Jednym jest łatwiej żyć, innym trudniej, to jasne, ale często właśnie w codziennych, zwyczajnych z pozoru, sytuacjach tak często potrzebna jest odwaga!

Zdziwisz się: odwaga? A co może grozić komuś w tym naszym nudnym, cywilnym światku? Toż to nie życie kowboja na prerii, to nie podchody partyzanckie ani walka z sycylijską mafią. Chodzimy do szkoły, a tam groźne są tylko dwóje. Gdzie tu miejsce na odwagę?

Ano popatrzmy. W klasie pojawił się pewien przywódca, lider, silny w pięści i mocny w gębie. Ma cały orszak wielbicieli. Podziwiają go i lękają się go zarazem. A Ty nie należysz do świty „gwiazdora", bo chodzisz własną drogą, nie czcisz jego pięści ani cwanych odzywek. To już jest pierwszy, wcale niemały akt Twojej odwagi.

I zdarzyło się, że ów idol popełnił jakieś wykroczenie. Oskarżony przez klasę na godzinie wychowawczej, wstaje i bezczelnie wypiera się winy, wskazuje na kogoś innego, jawnie kłamie. Inni widzą to, ale milczą. Boją się. A Ty wstajesz, demaskujesz kłamcę i tchórza. Jasne, żfe będziesz u niego „spalony", że Ci dokuczy, że „nie będziesz miał życia". Wiesz o tym, ale wskazujesz: oto kłamca i winny, a oto zastraszona ofiara jego kłamstwa, niewinny! Przecież to już nie tylko odwaga, to heroizm. I proszę: heroizm, prawdziwy - w cywilnym zaścianku jednej szkolnej klasy!

Może zdarzyć się, że to Ty jesteś takim liderem, idolem. I że Ty głupio na czymś wpadłeś. Nauczyciel nie wie, że jesteś sprawcą potłuczenia akwarium w sali biologicznej. Na razie tylko śledztwo; „kto?" - grzmi głos biologa. Klasa milczy, nie wsypie swej „gwiazdy". Niespodziewanie wstajesz i mówisz: „Ja. Niechcący, ale odkupię i akwarium i rybki". Zdobyłeś się na to? A jeżeli stracisz wielbicieli? Mówią, że „pękłeś", a to już prawie koniec z popularnością. Może. Ale zdobyłeś się na odwagę, może niekoniecznie heroizm; jest to jednak odwaga cywilna dobrej marki.

- To nie odwaga, , to zwyczajna uczciwość - mówisz. Masz rację, że to uczciwość. Ale właśnie uczciwość wymaga odwagi, jeżeli ryzykujesz utratę czegoś, na przykład uznania kolegów. Ryzyko zaś jest związane z umiejętnością opanowania lęku przed stratą, przed karą.

Odwaga, także cywilna, to opanowanie lęku. Nie znaczy to, że ktoś potrafi po prostu „nie bać się". Dlaczego miałby się nie bać? Odważny człowiek boi się, jak każdy, ale nie ulega lękowi. To jest ta cała sztuka.

I trzeba mieć odwagę nawet na to, żeby okazać komuś serce - publicznie. Oto sędziwa nauczycielka, łagodna, więc nie boją się jej, dokuczają, hałasują. Ktoś mówi: „Nie róbmy tego, ona jest taka dobra..." to ryzykowne odezwanie się, bo inni zawrzasną: „Podlizuch! Tchórz! Staje po stronie belfra!" Ale ten ktoś powiedział swoje i wie, że dobrze uczynił, bo nie dał się ponieść fali bezmyślnego okrucieństwa wobec starej, zmęczonej kobiety. Ujawniając, że jest wrażliwy na czyjeś cierpienie, okazał odwagę. Opinia klasy — potężny żywioł, ciężko temu, kto mu się narazi. Narazić się, a postąpić zgodnie ze swym sumieniem i sercem, czy to nie odwaga?

A że cywilna, to tym większa i wartościowsza, bo codzienna. Nie prowadzi do rozlewu krwi, i polega na brawurowych szarżach na wrogie okopy. Za to daje ludziom wiarę, że słońce nad ich światem może stawać się coraz jaśniejsze.

Czy zgadzasz się ze mną?

A może jednak WYGODNIEJ jest przystosować się do tych, którzy oczekują od Ciebie uległości, kłamstwa, zła? A może przecież GODNIEJ jest stanąć twarzą w twarz z nikczemnością i — nie ulec, nie milczeć, nie pozwolić. Czy miałeś taką okazję? A może byłeś świadkiem takiej sceny? Jak czuje się człowiek, który ma za sobą akt przezwyciężenia cywilnego lęku i słabości?

J.K. RADZIEWICZ



RAJDOWA LANCIA DELTA S4

Analizując nowoprzygotowywane konstrukcje samochodów rajdowych można wyciągnąć zasadniczy wniosek, że obecnie w sporcie wyczynowym - tym na najwyższym poziomie - liczą się tylko te samochody, które posiadają napęd na cztery koła i bardzo mocny silnik umieszczony tam, gdzie powinno znajdować się miejsce dla pasażerów.

Kto nie przestrzega tych reguł budowy - odpada z gry o czołową lokatę.

Doceniając to, koncern Fiata - którego w imprezach sportowych tej najwyższej rangi reprezentuje firma Lancia - przygotowuje nowy samochód do walki o laury zwycięstwa.

Ten nowy samochód zastąpi prawdopodobnie LANCIĘ RALLY, która jeszcze od czasu do czasu zwycięża, lecz w bezpośredniej konfrontacji z PEUGEOTEM 205 czy AUDI QUATTRO niestety traci dystans.

Nową bronią firmy ma być więc samochód oznaczony marką LANCIA DELTA S4. Konstrukcja tego samochodu stanowi swoistą rewelację w zakresie budowy pojazdów sportowych, gdyż wyposażona jest tylko w czterocylindrowy silnik, mający za to dwie sprężarki, cztery chłodnice i trzy mechanizmy różnicowe. Lecz o wszystkim po kolei...

DELTA S4 posiada silnik o pojemności 1759 cm sześc., oczywiście jego głowica ma 16 zaworów ustawionych w dwóch szeregach i uruchamianych dwoma wałkami rozrządczymi. Do ładowania silnika zastosowano turbosprężarkę i sprężarkę wyporowościową. Ich działanie jest synchronizowane w następujący sposób: powietrze zasysane jest przez płaską i płytką kieszeń utworzoną na dachu samochodu.

Po przejściu przez dużych rozmiarów filtr kierowane jest do turbosprężarki, gdzie następuje jego sprężenie, którego stopień zależny jest od obrotów silnika. Podgrzane w wyniku tego procesu powietrze tłoczone jest do pierwszej części chłodnicy powietrza, by po obniżeniu temperatury znaleźć się w sprężarce wyporowościowej, w przypadku gdy obroty silnika są niskie. Przy dostatecznie dużym ciśnieniu sprężarka wyporowościowa jest omijana i strumień powietrza wędruje odpowiednim przewodem do silnika. To przełączanie układu napełniania odbywa się samoczynnie w zależności od szeregu czynników. Dzięki temu uzyskano bardzo wysoką moc maksymalną, wynoszącą powyżej 300 kW, ale jednocześnie i wysoki moment obrotowy przy niskich prędkościach silnika.

Ten wysoki moment obrotowy zadecydował o tym, że zastosowano skrzynię biegów tylko o 5 przełożeniach.

Silnik usytuowany jest w samochodzie w pozycji centralnej, podłużnie, w osi pojazdu i pochylony pod kątem 20 stopni. Chłodnica cieczy i chłodnica oleju umieszczone są z przodu. Dalsze dwie chłodnice umieszczone z tylu przeznaczone są do chłodzenia oleju z układu przekładniowego oraz powietrza tłoczonego przez turbosprężarkę.

Napęd od skrzyni biegów przenoszony jest najpierw na skrzynię rozdzielczą, a dopiero od niej na osie kół przednich i tylnych. Wspomniane na wstępie mechanizmy różnicowe znajdują się przy osiach napędowych kół przednich i tylnych, a centralny mechanizm różnicowy przy skrzyni rozdzielczej.



Nadwozie LANCI DELTA S-4 nie należy do ładnych, jego kształty podporządkowane zostały konkretnym wymogom: aby było jak najlżejsze i by zapewniało b. dobry dostęp do zespołów pojazdu przy obsłudze.

Zbudowano je w oparciu o odchylane zawiasowo fragmenty karoserii - przodu i tyłu, które opierają się na przestrzennej ramie rurowej; jest ona jednocześnie obowiązkowym pałąkiem bezpieczeństwa nad głowami kierowcy i nawigatora.

Do ramy tej przyklejane są i nitowane pozostałe płyty nadwozia wykonane z tworzyw o wysokiej wytrzymałości, wzmacnianych włóknami węglowymi.

ZENON DUTKIEWICZ

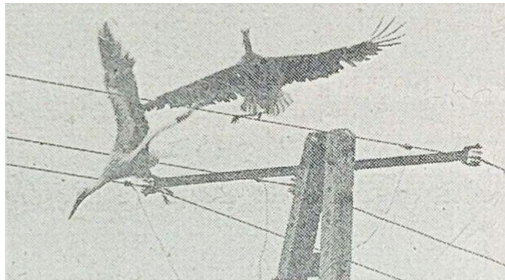
Spis bocianów w woj. warszawskim zakończony!



CZY RZECZYWIŚCIE JE LUBIMY?

Ile jest w Polsce bocianów? Ile gniazd bocianich? Czy ptaków tych przybyło, czy ubyło? Na razie dokładnie nie wiemy, bowiem wyniki „spisu powszechnego" bocianów, przeprowadzonego także z pomocą „ŚM" w zeszłym roku, nie zostały jeszcze opracowane. Możemy natomiast powiedzieć Już dziś, jak wygląda „bociania sprawa" w województwie warszawskim. Bowiem nasza gazeta patronowała akcji liczenia bocianów na obszarze tego właśnie województwa. Dlaczego? Ano, dlatego, że chcieliśmy przy okazji pokazać, jak się taką terenową akcję organizuje i prowadzi. A tu tymczasem na terenie różnych województw przewidywano różne formy organizacyjne „bocianiego spisu". No więc musieliśmy wybrać jedną, i to taką, w której przebieg prac mogliśmy szczególnie dokładnie obserwować. Stąd apelowaliśmy do Czytelników, by przesyłali nam dane o bocianach ze stołecznego województwa.

Czytelnicy nie bardzo się tym jednak przejęli i nadsyłali wiadomości z całej Polski, a bardzo mało z woj. warszawskiego. Czy to źle? Raczej... dobrze! Wszakże ci, którzy zdecydowali się napisać z innych województw, mogli powiedzieć sobie: chcą danych tylko z warszawskiego, a ja jestem z innej części Polski - to co się będę wysilał? Tak jednak nie pomyśleli i w rezultacie mamy ok. 100 listów o bocianach z całego kraju. Dodajmy tu, że woj. warszawskie nie jest ani województwem dużym, ani specjalnie „bocianim", więc mała ilość wiadomości właśnie stąd nie może zbytnio dziwić...



Wiele bocianów odnosi obrażenia lub ginie w kontakcie zdinami energetycznymi. Jest to jedna z najczęstszych przyczyn wypadków wśród tych ptaków

Zatem - „ŚM" wielu akcjom na terenie woj. stołeczpego nie pomógł. Mimo to przebiegała ona niemal wzorowo. Jak to wyglądało?

Rozesłano specjalne ankiety, niejako dwoma torami: przez Polski Związek Łowiecki do kół łowieckich; poprzez urzędy miast i gmin do sołtysów (630 ankiet). Większość została wypełniona i odesłana organizatorom. Niezależnie od tego ornitolodzy sami ruszyli w teren, poszukując gniazd na obszarze 32 gmin stołecznego województwa. Na ogół jedna osoba była odpowiedzialna za akcję w jednej gminie.Tu czas wspomnieć o dużym udziale ornitologów b. młodych, w tym także nastolatków. Np. w gminie Karczew badania przeprowadził uczeń szkoły podstawowej, **Grzegorz Zając** wespół z dorosłym ornitologiem **p. Żółtowskim**. Rzadko się zdarza, by ktoś tak młody brał udział w badaniach terenowych. Trzy gminy przypadły wychowankom i niedawnym korespondentom naszego klubu: **Dariuszowi Bukacińskiemu** (gmina Raszyn), **Pawłowi Kozłowskiemu** (Celestynów) i **Wiesławowi Nowickiemu** (aż trzy gminy - Błonie, Grodzisk Maz. i Zakroczym). Przyjemnie o tym pisać, bo to dowód, że nasze ornitologiczne przedszkole przydaje się nauce... Tyle o ornitologach, a teraz - czas na bociany...

Zdobyto wiadomości o 365 gniazdach bocianich. Z tego w 177 odbywały się lęgi, przy dalszych 95 były bociany, ale lęgów nie odbywały, zaś 92 gniazda były opuszczone. Średnie zagęszczenie par lęgowych bocianów w woj. warszawskim oszacowano na 6,35 pary na 100 km². Najwięcej gniazd było w gminach: Tułowice (17), Czosnów (17); Nieporęt (14), Raszyn (11), Wiązowna (10). Za to w gminach Celestynów, Milanówek, Pomiechówek i Zakroczym nie znaleziono ani jednego gniazda! Ogromna większość bocianich siedzib znajduje się w osiedlach ludzkich (93% wszystkich gniazd, w których stwierdzono lęgi). W odległości większej niż 50 m od zabudowań było zaledwie 14% gniazd zajętych (a 17% wszystkich). Najwięcej gniazd - 76 zajętych - mieściło się na drzewach, zwłaszcza na topolach. Na słupach było 13 gniazd, a 11 na strzechach. Zauważono jednak przy tym, że w bardziej zaludnionych okolicach jest mniej bocianów i zajętych gniazd. Rozmieszczenie domostw bocianich mocno zależy od bliskości wody oraz udziału łąk i pastwisk w użytkach rolnych. Gdzie ich więcej - tam więcej i bocianich-gniazd.

We wszystkich kontrolowanych w lipcu gniazdach znaleziono razem - 427 młodych. Ich liczba w poszczególnych gniazdach była różna - od czterech do jednego. Nie zauważono zależności liczby młodych do zagęszczenia populacji bocianów, (choć taka zależność była niegdyś stwierdzana).

Okazuje się, że wyrzucanie jaj i piskląt z „domu" jest nader częste u bocianów, stwierdzono to we wszystkich gniazdach.

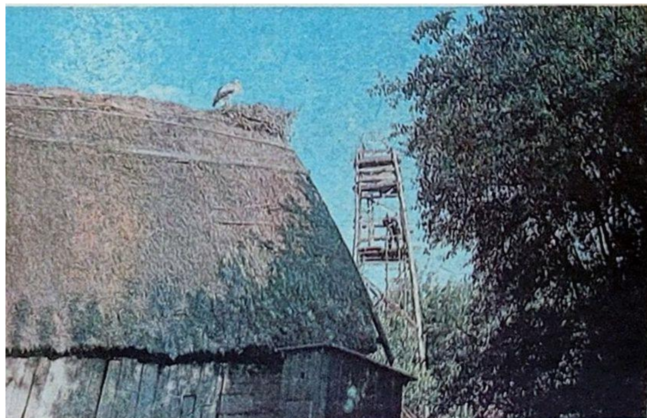
Niektóre z gniazd mają długą historię. Np. o gnieździe na bramie parku w Marysinie mamy wiadomości jeszcze z XIX w. Istnieje ono do dziś, choć jest opuszczone.

Tyle w telegraficznym skrócie o bocianach, a teraz - znowu o ludziach, od których losy bocianie bardzo dziś zależą. Zebrane w woj. stołecznym dane każą mieć na ten temat mieszane uczucia.

Z jednej strony-przeważająca część znalezionych tu gniazd powstała dzięki pomocy ludzi, którzy umieszczali na budynkach lub drzewach różne fundamenty, ułatwiające bocianom prace budowlane. Znany jest przypadek wkopania słupa betonowego za 10 tys. zł po to tylko, by bociany miały gdzie się zagnieździć. Nierzadka jest opieka nad młodymi, a także nad bocianami dorosłymi, które z jakichś względów pozostały na zimę. Ale z drugiej strony... Akcja wykazała, że do zniszczenia istniejących już gniazd przyczynia się najwięcej nie sama natura (wichry, śniegi, burze itp.) ale - ludzie! Najczęstszą przyczyną zniszczenia bocianiej siedziby jest wycięcie drzewa z gniazdem, bo np. zasłaniało ogródek, często też gniazda przepadają w toku zmiany pokrycia dachów. Niestety, były też przypadki odstrzału ptaków, celowego płoszenia itp. W rozmowach wszyscy zgodnie twierdzili, że lubią te ptaki i chcą je chronić, ale w praktyce, jak widać, różnie bywa. A więc - jak to jest: lubimy bociany czy nie? Chcemy przyczynić się do tego, by ich nie ubywało? Bo wszyscy pytani o to w terenie zgodnie odpowiadali, że kiedyś było więcej bocianów, a teraz jest coraz mniej. Czy chociaż po części nie z winy tych, którzy to mówią?

TOMASZ KŁOSOWSKI

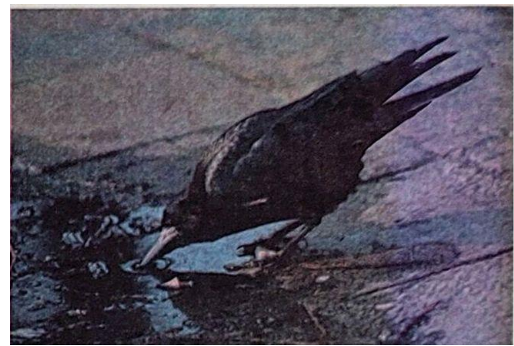
Fot. autora



Bociany są fotogeniczne, Ostatnio oglądaliśmy w TV piękny film im poświęcony w reżyserii Joanny Wierzbickiej. Tak m. in. kręcono zdjęcia do tego filmu

ZADANIA NA CZERWIEC

1. Uwaga! Zadanie specjalne! Będzie ono zresztą jeszcze drukowane w numerach Nieobozowej Akcji Letniej. Tutaj - krótko: zbierajcie duże pióra ptaków (tzn. mniej więcej takie, które nadają się na pióropusz) i przesyłajcie pod naszym adresem z dopiskiem na kopercie „Pióro". Idzie przede wszystkim o pióra ptaków drapieżnych. Przekażemy je badaczom tych ptaków.
2. Kontynuujemy obserwacje kolonii czapli i śmieszek. Obserwujemy je z pewnej odległości, bo wkraczanie na'teren tych osiedli ptasich powoduje tam niepokój i straty w lęgach.
3. Szczególnie ważne teraz, na progu lata, jest urządzanie pojników. Nie zawsze bowiem ptaki znajdują jakiś strumyk czy też kałużę, jak ten gawron widoczny na zdjęciu.



Teksty i zdjęcia
TOMASZ KŁOSOWSKI

Pomagamy ptakom

● **Krzysztof Adamski, Konopnickiej 13/4, 13-100 Nidzica**, dokarmiał zimą ptaki i zrobił wraz z bratem skrzynkę lęgową dla szpaka.

● **Zbigniew Barański, Zahoczewie 47, 38-604 Hoczew, woj. krośnieńskie**, rozwiesił tej wiosny 4 skrzynki (dla szpaków i sikor).

● **Kazimierz Bogdanowicz, Myśliborska 34/4, 66-400 Ostrów Wlkp.**, dokarmiał ptaki - także wodne - i zrobił 2 skrzynki lęgowe.

● **Ryszard Budnik, Bydgoska 33, 89-100 Nakło n. Notecią**, zaalarmował za pośrednictwem „Gazety Pomorskiej" o głodowaniu zimujących na Noteci łabędzi, dzięki czemu ptaki uratowano.

● **Stanisław Bulanda, Sowliny 50, 34-600 Limanowa**, dokarmiał ptaki w dwóch karmnikach i wykonał po jednej skrzynce dla szpaków i dla sikor.

● **Witold Ciesielka, Staszowa 9a, 34-460 Szczawnica**, wykonał kolejne skrzynki lęgowe i zaopiekował się krogulcem, który uderzył o... szybę wystawową kwiaciarni!

● **Dariusz Drąg, ul. 20-go Stycznia 49/51 m. 15, 95-200 Pabianice**, spełniając nasze zadanie wykonał skrzynkę lęgową dla puszczyka i zawiesił „w samym czubku sosny". Ano, zobaczymy, czy taka lokalizacja spodoba się tym sowom!

● **Dariusz Dobosz, ul. Puszczy Solskiej 8/31, 01-390 Warszawa**, podczas zimowego pobytu na wsi dokarmiał ptaki.

● **Jarosław Durkin, Dąbrowskiego 16c/7, 74-200 Pyrzyce**, wraz z kolegą **Jarkiem Jaroszyńskim** dokarmiali łabędzie.

● **Piotr Kaczmarek, 25-lecia PRL 6/6, 66-400 Gorzów Wlkp.**, napisał nam o akcji dokarmiania ptaków wodnych w swym mieście. Sam był jej aktywnym uczestnikiem - obok, licznych dzieci, emerytów, pracowników Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej, funkcjonariuszy MO. Dokarmianie było widać dobrą okazją do obserwacji, bo autor nadesłał obszerny i ciekawy list o zachowaniu zimujących ptaków wodnych.

● **Mirosław Kąkol, Puławska 17/6, 24-300 Opole Lubelskie**, wraz z kolegą zbudowali 3 karmniki, i 2 skrzynki lęgowe (w jednej - zdaniem korespondenta - zamieszkały pokrzewki; zapewne chodzi o inne ptaki wróblowate, bowiem nasze pokrzewki nie są dziuplakami i nie korzystają ze skrzynek), zamierza też zrobić skrzynkę dla kraski, do czego gorąco zachęcamy!

● **Zbigniew Kozioł, Kąty, 21-509 Kodeń**, prowadził dokarmianie w 4 karmnikach, rozwieszał słoninę dla sikor, wysypywał owies dla kuropatw. Zbudował skrzynkę dla szpaków, przygotowuje też domostwo dla sikor.

● **Wojciech Michałowski, os. Przy Stadionie 4, 66-400 Gorzów Wlkp.**, zawiesił po jednej skrzynce dla sikor i dla pliszczyków.

● **Mirosław Miler, Czerwonych Kosynierów 212/22, 81-205 Gdynia**, dokarmiał ptaki i rozwiesił po jednej skrzynce dla szpaków i sikor, a planuje wykonanie dwóch kolejnych ptasich domków.

● **Małgorzata Orlik, ul. Teligi 17/27, Kraków**, oraz jej przyjaciele w czasie ferii zimowych dokarmiali zwierzęta, w tym także ptaki.

● **Robert Przybyła, Świerczewskiego 7/5 58-400 Kamienna Góra**, wykonał po jednej skrzynce dla sikor i szpaków. Wraz z kolegą zaopiekowali się rannym myszołowem, korzystając z pomocy zootechnika. Ciekawe, jakie były dalsze losy ptaka?

● **Paweł Trojanowski, Łobudzice Kol. 15, 97-423 Bujny Szlacheckie**, rozwieszał skrzynki i dokarmiał ptaki, zwłaszcza sikory, które tylko w styczniu otrzymały odeń i zjadły 1,2 kg maku. Tej wiosny zaś przygotowuje całą ptasią kolonię: 20 skrzynek typu A i B, z czego 6 w chwili nadesłania listu było już gotowych. Czekamy na wieści z tego ptasiego osiedla.

● **Sławomira Urbanowicz, Nowe Polaszki, 83-433 Stare Polaszki**, dokarmiała ptaki, m. in. łabędzie i zrobiła skrzynkę lęgową dla sikor.

Z czterech stron świata

SŁONE POSĄGI

(„Poznaj Świat"). Według biblijnych opowieści, żona Lota uchodząc ze skazanych na zagładę Sodomy i Gomory, wbrew zakazowi obejrzała się za siebie i w tym samym momencie zamieniła się w słup soli. Oba legendarne miasta miały znajdować się na południowy zachód od Morza Martwego. Słupy soli spotyka się do dziś na brzegu słonego jeziora. Wiejący okresami wiatr północno-wschodni powoduje silne rozfalowanie tego zbiornika, mierzącego 76 km długości i porywa strzępy słonej piany, które osiadają na skalnych wyniosłościach. Osadza się z niej sól, i to w dużych ilościach, jako że woda Morza Martwego zawiera aż 26% soli - 7,5 razy więcej niż woda innych mórz. W ten sposób rodzą się słone posągi, mierzące nieraz 2-3 m wysokości. Z czasem pod wpływem zmian temperatury słupy solne pękają i kruszą się, inne obala wiatr, ale na ich miejsce tworzą się nowe. Tak oto powstaje krajobraz, który przed wiekami zapłodnił wyobraźnię autorów biblijnych przekazów.

Fot. **archiwum**



Autorką mego portretu jest Urszula Legierska, którą zapisuję do Rzepklubu.

Redaguje Włodzimierz Lewiński

Cześć!

Otwieram **Księgę Rekordów Rzepklubu** i wpisuję rekord myśliwski! **Agnieszka Smolińska** ustawiła dwunastopiętrową wieżę z łusek od nabojów. Ten rekord nie jest chyba do pobicia, bo kto mą pod ręką tyle łusek od dubeltówki!

Romek Staroń przeszedł po linie (zawieszonej 1 m nad ziemią) cztery metry i dwadzieścia centymetrów. Przy licznych świadkach.

Interesuje mnie kto najdłużej w Polsce potrafi „usiedzieć" w pozycji - jak na krześle, ale bez krzesła, opierając się plecami o lakierowaną szafę (lub inną bardzo gładką powierzchnię). Rekord wewnątrzredakcyjny - 2 minuty!

*

ANEGDOTKI

- Nieszczęście! Zostawiliśmy klucze od garażu w mieszkaniu, klucze od mieszkania w samochodzie, a samochód jest w garażu!...

*

- Proszę pana, w naszej restauracji, talerze są idealnie czyste! Niech pan przestanie je wycierać, bo brudzi pan obrus!

*

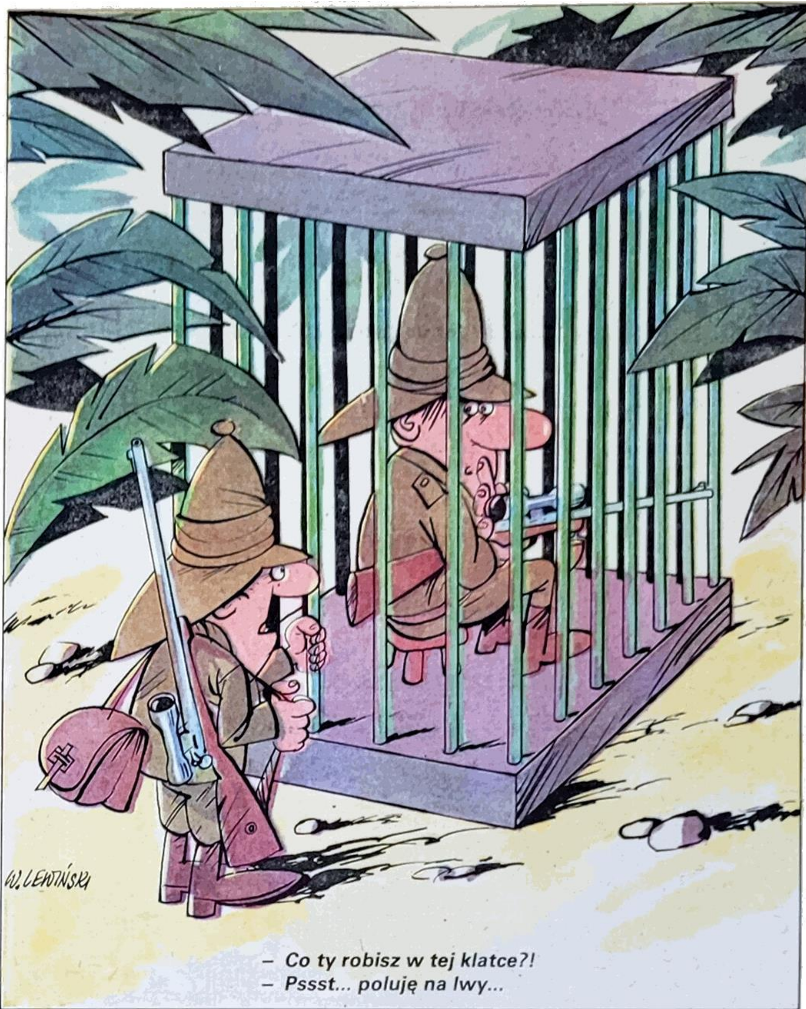
Anegdotki wyszperała Klaudia Markowska, którą zapisuję do Rzepklubu.

*

...śnił mi się pęk wspaniałych bananów, czy wasze Studio Snów nadawało coś takiego? Aldona B.

Aldonko, nic takiego nie było ostatnio w naszym programie. Jeśli na tych bananach była cena (1600 zł za kilogram), to znaczy, że nastąpiło odbicie fal telepatycznych, na których nadajemy sny, od budki na bazarze.

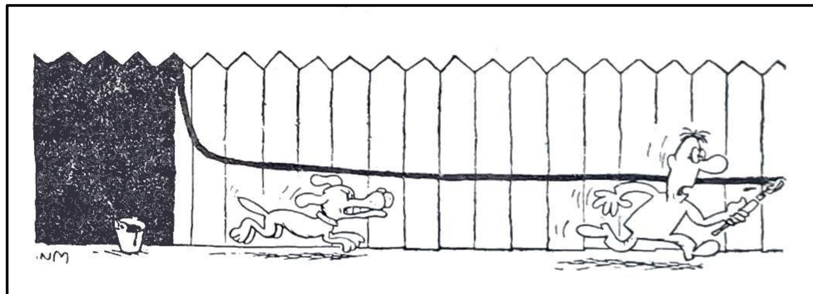
Do zobaczenia!
Wasz **Rzep**



– *Co ty robisz w tej klatce?!*
– *Pssst... poluję na lwy...*

RZEPKLUB
Zamieszczone obok żarty rysunkowe pochodzą z kolekcji członka klubu **Romka Zawistowskiego**.





- Brawo - powiedział obojętnie Łysy. - My się chyba znamy?

Jaś milczał.

- Masz nóż? Jak wtedy?

Łysy zbliżył się do Jasia i trącił go w ramię. Szczepan Szczepan podniósł się i zacisnął pięści. Ostrożnie podchodził Jasia od tyłu. Odjabłka przekrzywił głowę, spoglądał na mnie z pytaniem w oczach.

- Wynocha - powiedziałam. - Wy wszyscy.

W parkanie zachrobotało. Wyjście było gotowe.

— Nie, panienko — oświadczył spokojnie Odjabłka, oparł się o parkan, trącił go i deska się zakołysała.—Teraz sobie parę rzeczy wyjaśnimy. Ja ci wierzę — dodał dość skwapliwie. — Ja może ci wierzę, ale Łysy ma pewne wątpliwości. Co ty właściwie możesz?

- A co być chciał zobaczyć?

- No, ja wiem? - oblizał wargi, nie był jednak tak pewien siebie, jak to próbował pokazać. Rozejrzał się: - Czy mogłabyś przewalić to drzewo? - wskazał na magnolię, pochłoniętą już przez cień, czarną, bezkwietną i bezbronną.

- Nie - powiedział Jaś.

- Cicho. Mogłabym.

- Nie.

Jaś odstąpił i nagle wydał się nam większy, wyglądało to tak, jakby ogród go ochraniał i wspomagał:

- Tu nie wolno się bić - dodał.

- Czego wy wszyscy chcecie? - spytałam.

- Może nie wierzymy jednak? Może wierzymy? Może uznałem, że coś niecoś umiesz, ale przecież tak naprawdę nie chcesz nikomu zrobić krzywdy? I nie ma się co ciebie bać?

Odjabłka niespiesznie zbliżał się do mnie.

- I nam też nic nie zrobisz, prawda? Chcę, chcemy się dowiedzieć. Przecież ja nie wiem, czego my naprawdę chcemy - z prawdziwą bezradnością rozłożył ręce. - Musimy pogadać. I chodźmy stąd. I przez chwilę naprawdę żadnych bójek.

Objął przewodnictwo, wszyscy go usłuchaliśmy. Nawet Jaś. Znaleźliśmy się wkrótce pośrodku obszernej łąki, na której gasły ogniki kwiatów. Było jeszcze widno, ale bezsłonecznie. Na skrajach traw przepływały półprzezroczyste welony mgły: tam, gdzie gęstniały drzewa, a drzewa zaczynały w tych mgłach wyglądać jak rzeźby, posągi.

Rozsiedliśmy się w niewielkim kręgu, ziemia promieniowała ciepłem i biły z niej rozliczne wonie, ale Odjabłka odpędzał ten kojący czar i mówił:

- Miałem przyjaciela i nagle go tracę, bo mi podsuwasz jakieś uczulenie. To ja korzystam z okazji i go przezywam. Było tak? Było. On się na mnie obraża. Jakiś nieznany maluch grozi mi nożem. Uciekam. Nie jestem tchórz, ale uciekam. Dlaczego? Nie wiem. Potem mam do ciebie dużo złości, ale jestem człowiekiem spokojnym, więc nie robię ci nic. Godzę się z przyjacielem i zapominam o wszystkim. Ale nie mogę zupełnie zapomnieć, bo nagle stwierdzam, że wszyscy nazywają mnie. Odjabłka, a jego Łysym. Jest w tym zagadka. Ale przypominam sobie, że to ty nas tak przezwałaś. I nagle ludzie mówią, że rzucasz uroki, i w osadzie są rożne wypadki. A niedługo później ty, jak gdyby nigdy nic, przychodzisz i każesz nam nosić worki z kradzionym. Dobra, w porządku, możemy. I jesteś czarownicą. Dobra. I zaklinasz naszego dyra. W porządku, w porządku, ale nie tak. Ile ty masz lat?

- Powiedzmy, że dziewięć - powiedziałam cicho.

- No. A my po jedenaście. Prawie dwanaście. I już nie jest w porządku że my się ciebie słuchamy. Bo ty jesteś zwyczajny smarkul dla nas i nas nie zaczarujesz.

Chrząknął. Mgły gęstniały.

- I nie może być tak - podjął Odjabłka - żebyśmy się bili o dziewięcioletnią dziewuchę. Choćby - zająknął się - o ładną. To do niczego niepodobne. A o mało się nie biliśmy.

Nadęłam się trochę.

- I żebyśmy myśleli – podjął po chwili – o jakimś Szczepanie Szczepanie, jak o kimś, kto jest taki sam dobry, jak my. Bo nie jest.

Zerknęłam na Szczepana Szczepana, patrzył w ziemię. Łysy zaszeptał nagle, pochylając się ku Odjabłka.

- Prawda - przytaknął Odjabłka. - I jeszcze przez ciebie jego siostra jest ślepa, matka w łóżku, a ojciec w szpitalu.

- Nic nie wiem o szpitalu.

- Mrozicki się topił - wyjaśnił Odjabłka.

- Z rozpaczy - dodał Łysy.

- No, powiedzmy, od wódy. Ale pił i wcześniej, a nie topił się nigdy. Jest taki, jaki jest, ale to jego ojciec. Ty co, chcesz chłopaka pozbawić rodziny?

Cdn.

6 ODCINEK

TYTUS, Romek i A'TOMEK

TEKST I RYSUNKI PAPCIO CHMIEL

KOLOROWAŁA MARIKA ROSOCHACKA



dawno... niedawno...

Co się wydarzyło 30 i 31 maja

30 V 1778 - zmarł Wolter (Votaire), filozof francuski, historyk, pisarz. Jeden z głównych przedstawicieli epoki Oświecenia. Był współpracownikiem Wielkiej Encyklopedii Francuskiej, autorem wielu prac z dziedziny historii, powiastek filozoficznych, tragedii. Warto zapamiętać tytuł choćby jednego dzieła, brzmi on: „Traktat o tolerancji".

31 V 1957 - zmarł Leopold Staff (ur. w 1887 we Lwowie) - poeta, pisarz dramatyczny, tłumacz literatury greckiej, łacińskiej, włoskiej, francuskiej, niemieckiej.

Oto kilka tytułów spośród jego tomów poezji: „Sny o potędze", „Ptakom niebieskim", „Gałąź kwitnąca". „Ścieżki polne", „Wysokie drzewa", „Barwa miodu", „Martwa pogoda", „Wiklina". Twórczość Leopolda Staffa trwała 60 lat!

Ponadto:

31 V 1948 — podpisany został układ między ZSRR a Finlandią o przyjaźni, współpracy i pomocy wzajemnej.

Cytat na dziś i jutro:

Ludzie lubią na ogół, jeśli się wytyka im głupstwa, byle tylko nie wskazywać nikogo palcem. Każdy przypisuje wtedy swoje śmieszności sąsiadowi i jedni bawią się kosztem drugich.

(Wolter)

UŚMIECH NUMERU

PAN MĄDRALA był w Egipcie i po powrocie chwali się swoim kolegom:

— Wiecie, o mały włos kupiłbym nie lada sensację archeologiczną! Pewien pracownik wykopalisk chciał mi sprzedać „na lewo" czaszkę Kleopatry dorosłej i drugą, kiedy była mała...

*

- MĄDRALÓWNA — pyta wychowawczyni — dlaczego ostatnio spóźniasz się ciągle na pierwszą lekcję?

- Dlatego, proszę pani, że niedawno ustawiono tu znak drogowy „Uwaga, szkoła! zwolnij szybkość!"

ŚWIAT MŁODYCH
UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 65 (7995)
Wychodzi: wtorki czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (z-ca red. nacz.), Maria Jaworska, Wanda Kobyłecka (z-ca red. nacz.) Teresa Maciszewska, Jan Orgelbrand, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (z-ca sekr. red.), Marek Szymański, Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).

TELEFONY: Red. naczelny 21-15-61 Sekr. redakcji 28-25-48. Dział Łącznośći z Czytelnikami 21-81-13 (czynny w godz. 11-15).

TELEX 81-36-58.

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 03-965 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa–Książka–Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne: Grażyna Klechniowska

Opracowanie techniczne: Wiesława Chmielewska

Korekta: Barbara Wasilewska

DSP Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Zam. nr 1835/G. N-5

Nakład 439 000

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

LECH BORSKI

Ślady raju

48

Zaczęłam nagle płakać.

- Sam jesteś łups. Łups. Tu są ogrody. Tu się niczego nie traci, i nikogo. Tu tylko czasem trzeba poczekać. Ale nie traci się. Łups. Co ci po głowie chodzi? Nigdy się nie traci. Chyba że na chwilę - pokazałam mu palec i odmierzyłam na nim kawałek paznokcia. - Na coś takiego. A potem ma się wszystko z powrotem. I jeszcze więcej. Ogrody, ogrody, a nie jakieś łups. Łups jest w mieście.

Jaś sposępniał. Po chwili pochyliłam się do niego, żeby go pocieszyć. Miał ciężko z ojcem, z nocą, ze sklepem i w ogóle. Zajrzałam mu w oczy. Kropelki granatu chyba urosły, jakbym i ja go trochę dolała.

Był smutny.

Zaproponowałam, żebyśmy się przeszli i ruszyliśmy bez celu, a potem zaczęłam szukać końca ogrodu, drugiego końca, bo jeszcze go nie znałam. Znalazłam staw i idąc wzdłuż jego brzegu doprowadziłam Jasia do kobierca nenufarów i lilii wodnych, a potem znurkowaliśmy w chaszcze, minęliśmy mostek, i nagle wynurzyliśmy się na ponury, na głucho zamknięty barak, stojący w zagłębieniu, w końcu ogrodu. Obok niego była brama zamykana na grubą belkę, ledwie widoczna, na pewno niewidoczna od drugiej strony, z zewnątrz, zrobiona z ta kich samych jak parkan desek. Ogromna, szeroka brama.

Obok baraku piętrzył się stos długich na półtora metra okrąglaków.

- Co to jest - spytał Jaś.

Jedyne, co. mogłam zrobić, to wzruszyć ramionami. Nie miałam pojęcia. Ogród strzegł tajemnic. Pociągnęłam Jasia dalej, w gaj jakiś, w cieniste zarośla, w nieprzebytą dzikość.

Potem wyszliśmy. Zbliżał się czas kolacji, ale nie miałam ochoty wracać do domu i asystować ponuremu przeżuwaniu posiłku przez moją mamę, a zresztą szkoda mi było zostawiać Jasia. Wróciliśmy do altany, zjedliśmy ciasto i wypiliśmy kompot, zastanawiając się, kto nam to podrzucił. Zaczęło się robić późno: słonce opadło poniżej koron drzew, upał zelżał trochę. Nadeszła pora, by czekać przy parkanie na Łysego i Odjabłka.

O tej porze ogród zdobroduszniał, stał się łagodny i miększy niż zazwyczaj, jakby upał i jego zmęczył. Mimo to czułam, że pogroził mi surowo, bo zwlekałam z powrotem do domu i babka niepokoiła się o mnie. Lecz nie ukarał mnie. Zastygł. I zaczął pięknieć z każdą chwilą, nabierać spokojnej prześwietlonej urody, której jeszcze nie znałam, a on pokazywał ją nam obojgu, jakby wiedział, że dymy otchłani już się gromadzą i dotkną mnie znacznie boleśniej niż on sam chciałby to zrobić za lekceważenie mamy i babki. Czy bardziej, niż chciałaby to zrobić babka.

Łysy i Odjabłka przyszli szybko, Odjabłka jeszcze pojadał ostatnią kolacyjną kanapkę. Za nimi przyczłapał Szczepan Szczepan, który natknął się na nich i już nie odstępował, żałośnie grożąc, że opowie o workach, jeśli go nie zabiorą. Ulegli mu, za dużo wiedział. Musieli ulec.

Później gorzko wyrzucał sobie, iż myśl o zdradzie w ogóle zakradła mu się do głowy. I jego dotknęła kara.

Kiedy przeszli przez otwór, starannie zasunęłam deskę, a Łysy i Odjabłka rzucili się sprawdzać, w jaki sposób przejście się odmyka. Patrzyłam na to spokojnie, pewna, że ogród zadba o tajemnicę.

Wreszcie Łysy odstąpił. Po chwili zrezygnował i Odjabłka. Szczepan Szczepan stał tuż obok i obserwując Jasia szukał mojej ręki. Nie cofnęłam się. Jaś pochylił głowę, skoczył i Szczepan Szczepan potoczył się po ziemi.

Dokończenie na str. 7